ROK I 1907 ZESZYT I.

ŚWIT

MIESIĘCZNIK POŚWIĘCONY LITERATURZE I SZTUCE

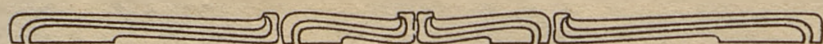
ŚWIT.

Nr. 1. MAJ. 1907 ROK.

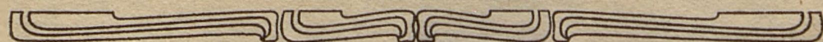
TREŚĆ:

Od Redakcyi. **Edmund Bieder.** Tryumfy (cykl sonetów). **Jerzy Denker** Hymn do Ciszy. Fragment. Widzenie. Zwątpienie. **...ewicz.** Bajka o niegrzecznej księżniczce. **Wincenty Korolewicz.** Pogrzeb Wojaka. Z cyklu: Nowe życie: Moje Słońce. Fragment z III części Ocknienia. (Prolog). **S. A. Kowalski.** Svan Wiking. „Bez Boga", dramat (akt pierwszy). Bajeczny list. **Konrad Radosław Krajewski.** Wiersz. **Wanda Krzyżanowska.** Sonet. Wiersz. **Halina Stojałowska.** Hasło. **Przegląd teatralny.** Teatr miejski. Teatr ludowy. **Dr. Stanisław Kurkiewicz.** Z dziedziny płciowości.

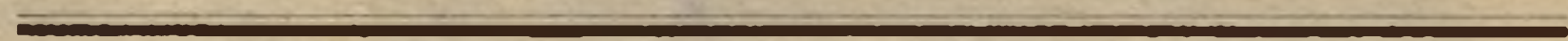
„Świt" rozpocznie w następnym zeszycie druk obrazu dramatycznego **Jerzego Denkera** p. t. „Z tajników duszy".

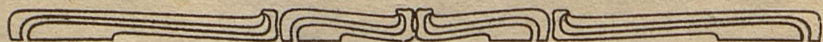


Z powodów od Redakcyi niezależnych odkładamy sprawozdanie z najnowszej literatury włoskiej do następnego numeru.



SKŁAD główny w księgarni S. A. Krzyżanowskiego w Krakowie.

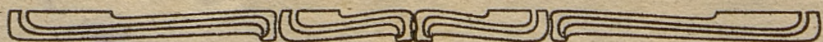




Okładkę rysował **Juliusz Pol.**

Drukarnia W. Korneckiego i K. Wojnara w Krakowie.

Litografia A. Pruszyńskiego w Krakowie.



Od Redakcyi.



W trudnej zaiste chwili rozpoczynamy wydawać „ŚWIT“.

Gdy jedni dla najnowszej poezyi i sztuki mają tylko słowa zachwytu i uniesienia, a inni darzą ją łachmanem zszarzałej sympatyi, to naprawdę wszyscy oddają się polityce, która nawskróś zaczyna przejmować duszę nowoczesnego człowieka. Tymczasem obojętność i pogarda dla płodów prawdziwego nawet natchnienia zwiększają się z każdym dniem u myślącego ogółu, jakby piękno i prawda, nie były składową częścią programu rzeczywistego odrodzenia z ducha, w znak którego Polska dziś wstępuje. Kostrzewy melancholii, przesytu, zwątpienia, mgławicowa symbolistyka, ckliwy, do obrzydliwości przesadzony erotyzm, zapatrzenie się w zwierciadło własnego *ja* i fałszywa filozofia życia, rozpanoszyły się w poezyi i zatruwając czystość serc, sieją zamęt w umysłach, wywołują niezdrowie w duszach.

W takiej to chwili rozpoczynając wydawnictwo „Świtu“ świadomi jesteśmy ciężkiej pracy, która nas czeka, ale owszem, im cięższą ona będzie, tem ofiarniej ją spełnimy, ufni służbie dobrej sprawy.

„Świt“ obok utworów wybitnych pisarzy i specyalnych sprawozdań o literaturze i sztuce u nas i zagranicą, podawać będzie przedewszystkiem utwory talentów najmłodszych, jasne myślą, świeże uczuciem, a prostotą, pięknem i prawdą opromienione.

W Krakowie, 25 maja 1907.



HYMN DO CISZY!

Spłyń święta Ciszo pośród łez bezmiaru
na świata bladą skroń,
z pieszczotą wiosny, z zachwyceniem czaru
z błękitnych niebios toń...
O Ciszo marzeń, o Ciszo tęsknoty,
owiana w legend skołysane baśnie,
ach kiedy, kiedy wśród Twojej pieszczoty
stargany w bólu tułaczy świat zaśnie!
Roztocz swe skrzydła nad męczarnią ducha
i serca zatłum ból,
iskrę zwątpienia co z myśli wybucha
zadumą ugaś pół...
Spłyń święta Ciszo pośród łez bezmiaru
na świata bladą skroń,
z pieszczotą wiosny, z zachwyceniem czaru
z błękitnych niebios toń!

. . . .

Kocham Cię Ciszo w śnie mistycznych marzeń
owianą szczęściem niebiańskich zachwytów,
gdzie dusza błędna z ziemskich burz wydarzeń
na skrzydłach tęczy płynie w dal błękitów,
a smutny Anioł tej duszy człowieka
z bijącem sercem wśród łez na nią czeka,
bo wie, iż skoro prysną ułud fale
w rozczarowania utonie wnet szale...
Kocham Cię Ciszo wieczornych upojeń,
co spływasz z nieba wśród słonecznych jaśni
i wlewasz w serce święty czar ukojeń
jak biały Anioł dziecinnych mych baśni,
kocham Cię Ciszo i dzisiaj ku Tobie
w niemej wspomnienia smutnego żałobie,
mdlejące w bólu wyciągam ramiona,
patrz oto serce w wirze myśli kona,
więc spłyń o Ciszo pośród tęcz przeźroczy
i daj mi patrzeć w Twoje smutne oczy.

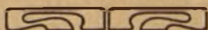
. . . .

Kocham ja Ciszę w wiosenne poranki
rozwianą w zorzy wschodzącej purpurze,
łagodną w senni jak serce kochanki
gdy białe róże
snów niewinności przypina nad czołem...
o Ciszo jesteś mych marzeń Aniołem,
Ty myśli moje kołyszesz jak fale,
szumiących kwiatów przez marzące hale —
O Ciszo moja . . . .
. . . .
Kocham Cię Ciszo miłosnej pieszczoty
królewskich ogni błyszcząca szkarłatem,
pełna omdlenia przesłodkiej tęsknoty
i myśl wieńcząca rozmarzenia kwiatem —
a chociaż zawsze zostawiasz po sobie
niesyt pragnienia i uśmiech ironii,
to jednak dusza ulata ku Tobie
jak motyl, który śmierć wśród kwiatów goni!
. . . .
Spłyń święta Ciszo pośród łez bezmiaru
na świata bladą skroń,
z pieszczotą wiosny, z zachwyceniem czaru
z błękitnych niebios toń!
O Ciszo marzeń, o Ciszo tęsknoty
owiana w legend skołysane baśnie,
ach kiedy, kiedy wśród Twojej pieszczoty
stargany w bólu tułaczy świat zaśnie!
Roztocz swe skrzydła nad męczarnią ducha
i serca zatłum ból,
iskrę zwątpienia co z myśli wybucha
zadumą ugaś pól...
. . . .
W bezdeni smutku, rozpaczy, tęsknoty
do Ciebie Ciszo, rzucam Pieśni głos,
owiej tchem światła wieczną noc ciemnoty
i wlej nadzieję w ofiar głuchy stos...
O Ciszo smutna kochanko ludzkości,
nieuchwycona wśród zawiei burz,

w dążeniach naszych, w łzach nieskończoności
Tyś niewcielona jak Anioły zórz!
Z sercem rozdartem i z wiecznem pytaniem
idziemy w ciemny, tajemniczy kres
i samolubstwo zowiemy — kochaniem
a czynem — strugi wiecznie żywych łez!
O Ciszo, smutna kochanko ludzkości,
ukryta kędyś u cmentarnych trun,
wśród mgieł zwątpienia zrodzonych w Miłości
wzniecamy szkarłat gorejących łun!
Wzniecamy szały krwawego męczeństwa
w zmroku dociekań i w tęsknicy dum,
a tam nad myślą słabą człowieczeństwa
śpiewa „Pieśń Śmierci“ czarnych duchów tłum!

„Pieśń Śmierci“ śpiewa czarnych duchów tłum
w zmroku dociekań i w tęsknicy dum,
a nam z ócz sączą się perliste łzy
i więdną serca młode, złote sny!!

Jerzy Denker.



Bajka o niegrzecznej Księżniczce.

ROZDZIAŁ I.

Była sobie raz Księżniczka, a był także Królewicz. Oboje młodzi. Ona pochodziła podobno z dalekich moczarami i błotem słynących okolic. On panował w krainie marzeń i snów.

Raz w słoneczny, jasny dzień przyjechała Księżniczka do jego państwa. Wysłano ją tam na edukacyę. Łożyła na nią tęga mama władczyni błot, i jeszcze jacyś ludzie, gdyż byli przekonani, że Księżniczka posiada wielkie zdolności.

Przyjechała więc do krainy marzeń i snów cichego Królewicza — i zaczęła udawać także marzącą i pełną poezyi. I udało się Księżniczce czego pragnęła. Zakochał się Królewicz — a nawet zaczął pisywać o niej i do niej wiersze.

Ale pisywali podobno i oboje — ona niby także miała natchnienie — marzyła nawet wierszem, tak szalenie kochała.

Raz z miłości chciała rozbić szkło, na którem malowała kwiaty — piękne irysy. Chciała to rozbić, by tylko zrobić przyjemność Królewiczowi swoją ofiarą. On jednak, widząc, że Księżniczka jest artystką, a kochając ją — nie dopuścił do katastrofy poświęcającej arcydzieło na zniszczenie.

I płynęły im chwile pełne słońca i zapachu perfum rozmaitego gatunku; bo trzeba wam wiedzieć, że księżniczka bardzo lubiała się oblewać pachnącemi olejkami. Niewiadomo dlaczego — dosyć, że pachniało od niej ogromnie.

Równocześnie z miłością księżniczka kończyła umysłowe edukacye. Dużo się uczyła, dużo tańczyła, zdawała egzaminy. A musiała zdawać dobrze, bo Królewicz był jej kochankiem, a poddani jego wszystko robili, by tylko u pana nie popaść w niełaskę. Egzaminy więc poszły gładko zmęczonej balami Księżniczce. I wszystko szło gładko. Miała apetyt. Dużo jadła — miała i tuszę potemu, bo kto wie, czy miała ta Księżniczka kiedy duszę.

I tak jadła, jadła, — aż raz uradzono post na schudnięcie.

Księżniczka zmartwiła się, ale rodzina *kazała* „telegraficznie“; (gdyż trzeba wam wiedzieć, że Księżniczka za granicą była sama, „jakby“ pod opieką Królewicza). Ona więc, jako dobrze wychowana usłuchała rodziny. Dyeta była ścisła. Mleczko, śledzie, śledzie, mleczko — i nic więcej. Także dużo trzeba było chodzić na spacery. Chodziło biedactwo, by spaść ze sadełka. Wreszcie zeszczuplała troszeczkę. Podobno zjadła przez czas dyety kilka funtów czekoladek i innych tego rodzaju cukierków... tak zapisał w swoich pamiętnikach „wydatków osobistych“ nasz Królewicz. I to podobno pomogło. Jak wyżej powiedziałem szalała za... poetami, a prawdę powiedziawszy lubiła wszystkich, którzy się koło niej kręcili i palili bajecznie głupie komplementa.

„Śliczna“, „anioł“, „cudowna“ — to słowa najlepiej przez Księżniczkę lubiane. Kto odzywał się do Księżniczki takim dyalektem, ten zaraz „popadał“ w łaskę nadobnej pani. I dużo było takich.

Musimy się jednak czasem cofnąć wstecz, by poznać dokładniej jej przeszłość.

ROZDZIAŁ II.

Jak mówiłem — Księżniczka pochodziła z błot — opiewanych podobno przez poetów. Chowało się dziecko, a było już od urodzenia mądre, zdolne, przebiegłe i krnąbrne. Podobno, jak legenda głosi koronki jeszcze widać było z pod spódniczki paniątka, a już oddała serduszko swojemu poddanemu. On był szlachetny — pokochał, uwielbiał.... a ona?

Jej imponowała ta miłość — podobno także kochała. Wszystko jednak odbywało się potajemnie.

W ciemnych alejach zamkowego parku spotykały się dwie młode istotki i marzyły o przyszłości. Pływali wyobraźnią po błękitach, aż raz zlecieli na łono rodziny Księżniczki.

Cóż rodzina?

Zebrała się rada familijna. — Uchwalono: niech się młoda Księżniczka wprawia w miłość — uznano bowiem, że dobrego ma nauczyciela. Pozwolono się kochać. I kochali się dość długo.

Widać rodzina znowu po naradzie uznała, że małej potrzeba wyższych studyów — postanowiono dać dymisyę nauczycielowi. Odrazu nie można było puścić tego gorliwego edukatora — w trąbę.

Znowu radzono. Zapadła gromna uchwała, by na dwa lata zniknął Księżniczce z oczu, a potem, gdy nauka jego nie odniesie skutków — musi wrócić nauczyciel do swej uczenicy i dalej udzielać jej lekcyi — aż do skutku.

Stanęła umowa. Nauczyciel pożegnał się może na zawsze — a nawet płakał z rozpaczy — ona także podobno łkała.

Mówią, że się do niego przyzwyczaiła. Co się z nim stało. Pojechał do stolicy i pił — i podobno teraz także pije — mówią, że z rozpaczy.

Ona zaś zaczęła zastosowywać naukę jego do życia codziennego... i tak czas biegnie, leci... i nic się jakoś nie zmienia, bo podobno nauczyciel był wyśmienitym pedagogiem.

Widziała go raz pijanego... strasznie się zmartwiła i żałowała, że go takie nieszczęście spotkało, a nawet mówiła z nim kilka słów, na temat „picia“ — ale mówiła przez telefon, bo inaczej nie było wolno. Ale i to przeszło. Zapomniała.

Sama osobiście była biedna. Podobno przodek jej stracił

miliony i państwo. Była więc na dworze u rodziny, która obiecała wyposażyć sierotę. Duma jednak pchała Księżniczkę wzwyż — chciała mieć także miliony, poddanych, dwór, poetów na dworze, opiewających jej piękność, jej natchnioną duszę, duszę pełną jasnej... pychy.

Mając więc dobre wykształcenie, zastosowała je w życiu.

ROZDZIAŁ III.

Otóż jak powiedziałem w pierwszej części, dowiedziała się Księżniczka, że w sąsiedniej krainie panuje wielki piewca i wielki Królewicz. Postanowiła znaleźć szersze pole działania i wyjechała pospiesznymi pociągami (bo podobno wtedy już znano koleje) do jego państwa. Uczyła się.

Poznała się z nim, z tym upragnionym Królewiczem. Potrafiła go nawet zaczarować — i podobno wnet wywiązała się miłość — z jej strony jednak bardzo podejrzanego gatunku.

Kraina marzeń i tęczowych snów idealnego Królewicza zapełniła się hymnami pochwalnymi na cześć księżniczki, a bukietami kwiatów i pudłami cukierków na cześć jej tuszy.

Ona udawała, że zachwyca się hymnami poety — on wpadał w ekstazę szczęścia — ona połykała funtami cukierki i wywąchiwała aromat kwiecia, a on był pełen szczęścia, że Księżniczka tak go kocha.

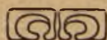
I tak płynęły dni pełne tęczowych blasków i polatywały zefirkiem hymny pochwalne nad państwem Królewicza — na cześć Księżniczki — opiewane przez lirników i dudziarzy.

Księżniczka zapragnęła zabaw, festynów, wycieczek — mrożonej kawy i t. d.

Chciała, a nawet okazała chęć poznania przyszłych swoich poddanych, a także i okolice swojego państwa. Chciała hołdów, pragnęła, by Królewicz pokazał przyszłą małżonkę państwu. Trzeba wam wiedzieć, — że czego pragnęła Księżniczka — musiało być!

Królewicz dla niej wszystko robił, bo ją kochał, — a ona podobno także Królewicza kochała.

(c. d.) *...ewicz.*



Svan Wiking.

Aoa! Na wody, na gody!
Dzielna ma łodzi wciąż naprzód bież!
Twój wiking nie chce wygodnych leż.
Nie bacz, że fala tak się przewala,
Pogrąż się śmiało w północny chłód,
Wieziesz Łabędzi szalony ród!

Tam na Trynakryi drwił cicho gmin,
Że ponad gnuśność wolałem czyn.
Zbyłem ich hardy milczeniem wzgardy!
Na wiatry strząsam ostatni pył
Miejsca, gdziem długo w niesławie żył!

Wśród rytmu wioseł chcę życie wieść,
Zdobyć wojenną chwałę i cześć.
Nam łono tarczy za łoże starczy,
A dobre Azy skrępują strach,
By nam nie przerwał pokoju w snach.

Patrzcie, na niebie wre jakiś bój!
W niezwykłych drganiach gwiazd świetny rój, —
Lecą niemocne w przestwory nocne!
Płyńcie, żadnego z gwieździstych piór
Nie stracił mego Łabędzia Zbiór!

Żaden więc groźnym nie będzie brzeg.
Biada, gdy zechcą wstrzymać nasz bieg!
Szypy, widlice, pchnę na wieżyce,
Blanki połamię, wstecz zwalę mur,
Na gruzy wpadnę jak dziki tur!

Myśl moja wraca pod Joste-dal,
Pod stropy moich ojcowskich hall.
— Jak z poza dworu płynie szum boru...
Precz z tem! Marzenie to czynów wróg!
Zadmijcie, druhy, w Odina róg!
Aoa! Na gody, przygody!

S. A. Kowalski.



FRAGMENT.

W obłędzie świateł błyskawicowych tchnień purpury przez duszę moją płynie dziwna pieśń rozpaczy i niemej, mdlejącej wśród ciszy wspomnień tęsknoty, wieńczącej senną zadumą myśl, co niema siły, by zakuć w potężną moc woli swej nieprzepłakane jeszcze bóle rozczarowań i marzeń powiędłych...

O przebacz mi Ty Jasna, Cicha, Błogosławiona w girlandzie snów niewinnych uniesień duszy, co zachwycona czarem rozwiewnych ułud wiosennych wzlatała w nieskończoność stworzenia i pod nieśmiertelne stopy Piękna Twojego kładła pieśni zachwytu...

o przebacz mi kochanko kwiatów i tęcz wodospadów, że ducha Twego rozwianego w pieśni kryształnych zórz nad tęsknym poszumem fal oceanów — przeniosłem w śmiertelne zjawisko stworzenia...

o przebacz mi...

niechaj nad ciszą łez zabłyśnie jeszcze złota aureola uśmiechu Twego, niech srebrna wstęga słów Twoich płynie zaczarowaną kaskadą ukojeń nad świątynią serca...

szelestem białych skrzydeł wiosennych wymarzeń zgaś śmiech ironii, zawieszony nad nadzieją serc rwących się ku szczęściu, o Jasna, o Pozdrowiona Królowo Pieśni wszechświata...

Czuję Cię w samotne noce, gdy w zawiejach wichru dłoń śmierci na pokłębionych stadach chmur haftuje wstęgę purpury, Ty wtedy miękkie, gorące ręce kładziesz na skroni i patrzysz z anielskim uśmiechem, Ty Królowa światów astralnych, Bogini Pieśni i Piękna...

patrzysz, a dusza błędna śni zaczarowaną baśń szczęścia...

żem Ciebie kochał w ziemskim, w nikłem Zjawisku — przebacz mi Jasna...

już Cię nie szukam na ziemi, wiem że płomienne skrzydła tęsknoty palą myśl w gorączce ekstaz, wiem, że jesteś jedynem natchnieniem, jedynem Pięknem, jedyną Prawdą, wiem, iż tylko ten jest nieśmiertelny, kto Ciebie pozna w serdecznem ukochaniu bólu i rozpaczy, dlatego tęsknię ku Tobie o Jasna moja Pani bezkreślnie, bezdennie w godzinie bytu.

Kwiaty szemrzące cichą modlitwę zachodzącym zorzom, skropione brylantem łez swych serdecznych głoszą mi Ciebie

...głoszą mi Ciebie, i rozkołysane dzwony niosące w błękitną dal, rozwianą w skargach pieśń pastuszą

głoszą mi Ciebie ciche jęki słowików w nadbrzeżnych gąszczach, co rozsłuchały w melodyi swej, rozszeptane fale modlących się strumieni...

i melancholia wieczoru i cichy szelest złocistych zbóż i hal głoszą mi Ciebie o Jasna moja Pani...

O Jasna moja Pani, dla której piłem łzy spieczone bólem w bezdeni wyczerpań, dla której wiarę czystą i niepokalaną rozbiłem w smutni u beznadziejnych bram Miłości, co w wirze splotów błyskawic rzucała w serce moje bluźnierstw krwawe przekleństwa... O Święta Moja kocham Cię dzisiaj w rozbitych szczątkach bogactw moich, w starganej purpurze królewskich osłon o Święta, Święta Moja przeczuta od lat wielu i przepowiadana bólem tęsknoty a utracona dłonią Przeznaczenia Mego!...

Człowieku — Ty niewolniku spętany ogniwem żądz swych, stań nad siną otchłanią przepaści i popatrz w jej łono! ujrzysz tam ciemność niezgłębioną, siną, przejmującą dreszczem i cofniesz się zlękniony...

a czyli wiesz, iż taką pustkę bezgranicznej ciemności nosisz niekiedy w sercu własnem...

Zdziwiony patrzysz na tryumfalne łuki tęcz, na rozsrebrzone pyły gwiazd przestrzennych i schylasz głowę przed głuchem poświstem wichrów, łączących gór szczyty ogniem błyskawic...

Człowieku Ty w duszy swej posiadasz barwy tęcz i zórz, posiadasz wstęgi gromów silniejsze niż te, które Cię tworzą.

Człowieku gdy czujesz gorąco, gdy tęsknisz bezmiernie... natenczas duchowi Twemu przynależy się wszystko...

Duchowi Twemu dał Stwórca wielką siłę tęsknoty, wielką moc pożądań, on wlał w niego potęgę Istoty Swej... i przyjdzie chwila, w której każden co ukochał poczuje się Bogiem...

bo dusza tęskniąca, to jedna potęga Miłości... Miłości wielkiej bo stwórczej.

Ona unosi się nad głębinami rozpaczy, ramiony swemi obejmuje słońc kołowroty, rzeczywistość spaja z krainą myśli i fantazyi w jedno złote ogniwo natchnienia...

Ona jak kwiat ciche, łagodne oczy wznosi ku Stwórcy, by wyprosić błagalnym szeptem słów łaskę i błogosławieństwo...

Ona wśród gromów burz zlewa spokój i ciszę, ona ochładza rozpaloną skroń pieszczotą anielich dłoni Swych...

Miłości! w oczach Twoich leży moc nieśmiertelna, pod tęsknem spojrzeniem Twem dusza ulata w krainę nieskończonego czaru... Tyś pierwsza wyrwała mi Pieśń dziecinną, nieskalaną jak powiew wiosennego wiatru...

Miłości w oczach Twoich znalazłem najpierwszy wyraz czaru, zerwałem najpiękniejszy kwiat upojenia melancholii...

Kiedy myśl moja jak błędny ptak bała się jeszcze ostrzem uderzyć w nieskończoność, gdy patrząc w obraz Bogarodzicy, łzą smutku zaciemniałem blaski słonecznych świtów, Tyś była pierwsza, na której łono jak motyl na kielich kwiatu opadłem, by przedumać uczucie nieznanej tęsknoty w puharach mąk.

Jerzy Denker.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Pogrzeb wojaka.

Słyszę jęk dzwonu posępny i smętny...
słyszę go dzisiaj, — tak mi on pamiętny,
taki nie nowy, a taki drażliwy
i cichy bólem i smutkiem prawdziwy.

Była to jesień — niebo rozpłakane
zakryło wioskę serdecznemi łzami,
a dzwony biły na wieży rozchwiane,
a pogrzeb sunął błotnemi polami.

Słyszę ja dotąd jęk dzwonów ten cichy
i widzę w dali śpiewające mnichy
i słyszę szumy cmentarnych topoli
jak biegną z wiatrem po zoranej roli.

Była to jesień — nieśli go przez pola
do fary cicho, pełni majestatu;

a dzień wyglądał tak, jak jego dola...
wrócił kaleką z „dalekiego światu“.

Słyszę jęk dzwonu, słyszę już konanie
pieśni kościelnej, a gdzież to świtanie,
gdzie ukojenie po walce orężnej — —
on ufał mocno „wszechmocy potężnej“.

Była to jesień, jak szedł na wojenkę...
grały mu surmy, grały do ataku —
wrócił jesienią — zostawił tam rękę...
...„wróciłeś chory ty tułaczy ptaku“.

Słyszę ja dotąd, lecz nie dzwonów bicie...
słyszę przekleństwa na wojny, na życie...
lud szemra królom i srogo złorzeczy...
wojna zabiera, wojna nie wyleczy.

Była to jesień — żegnał wdowę matkę,
poszedł w dalekie strony mu nieznane,
a gdy powrócił, zastał pustą chatkę,
mogiłę z krzyżem, brzozy rozpłakane.

Słyszę jęk dzwonu, znów silnie uderza...
orszak żałobny do kościoła zmierza —
wchodzą powoli, słychać łkania ludzi — —
chór się powoli cichą pieśnią budzi.

Była to jesień dla ludzi gromady,
bo bezpowrotnie ginął kwiat młodzieży...
zostały tylko wspomnień ciche ślady,
ciężkie westchnienie, które w przestrzeń bieży.

Słyszę jęk dzwonu, księża nucą modły,
a przy kościółku szumią tęskno jodły...
łka lud pobożny, a wśród nich dziewucha
stoi jak posąg... jęku dzwonu słucha.

Była to jesień — pamiętam godzinę...
ryk straszny słyszę: „Jaśku, me kochanie!“

padła na trumnę — wynieśli dziewczynę...
powstało wielkie w kościele płakanie.

Słyszę, już dzwony ucichły w niedoli,
a lud wychodzi z kościoła powoli — —
drzwi się zatrzasły, a w kościele głucho...
ostatnie dzwonu jęki słyszy ucho.

— — — — — — — — — —

Była to jesień dla Jaśka jedyna
Najświętsza Panna błogo się uśmiecha
puszcza Jezusa, a mała Dziecina
biegnie do trumny — Jezusek-Pociecha.

Słyszę nie dzwony, lecz chóry Aniołów...
Chrystus otwiera trumienkę popiołów,
wskrzesza i bierze za rękę żołnierza
szepce z nim ciche wyrazy pacierza.

Była to jesień, a śliczna, cudowna...
chóry Aniołów śpiewały dokoła — —
przy Jaśku Jezus i święta Królowna...
— — — — — — — — —
ludzie na modły spieszą do kościoła.

— — — — — — — — — —

Słyszę jęk dzwonu, znów silnie uderza...
orszak żałobny na mogiłki zmierza...
idą powoli... słychać łkania ludzi —
Jasiek szczęśliwy... łza go już nie zbudzi.

Była to jesień, niebo rozpłakane
zakryło wioskę serdecznemi łzami,
a dzwony biły na wieży rozchwiane,
a pogrzeb sunął na cmentarz polami.
— — — — — — — — — —
— — — — — — — — — —

Wincenty Korolewicz.



SONET.

Śni mi się pieśń o orle zrodzonym w niewoli,
któremu się bezkreślna majaczy ojczyzna —
i pożera go straszna tęsknoty trucizna
gdy wichr od skał wolności echem go okoli.

Śni mi się powieść o lwie schwytanym w złe sidła
o mocarnym, spętanym mórz pustyni królu
i o żórawiu, który złamawszy swe skrzydła
w stepach kona samotny, wichrząc pióra w bolu.

Śni mi się pieśń o mędrcu co wyrzekł się życia
by w księgach szukać Prawdy, Szczęścia i Potęgi
aż doczekał się wszystkich swych złudzeń rozbicia.

I śni mi się baśń dziewczęcia jasnego — okrótna,
którego łzy nadziei przepaliły wstęgi...
A oni się pytają — czemu jestem smutna!



Otom dumna — że smutek wziął mnie za kochankę
Dobrym jest mi i wiernym zawsze oblubieńcem,
W zmierzchy snuje mi cudnych marzeń złota tkankę
I skroń mi niewidzialnym ciszy stroi wieńcem.

Zazdrosny jest kochanek — Mgłą mi osnuł lica
Żeby żaden w nie ziemski nie patrzał młodzieniec,
Jego, tylko mnie widzi poza mgłą źrenica,
Bo zazdrosnym jest wielce wierny oblubieniec.

Wanda Krzyżanowska



S. A. Kowalski.

BEZ BOGA.

UTWÓR DRAMATYCZNY W 4-rech AKTACH.

OSOBY:

- HANIA TWORSKA
- MARYA, jej przyjaciółka
- OLGA TWORSKA, macocha Hani
- JÓZEF TWORSKI, jej ojciec
- HORNIKOWA, krewna Tworskich
- HELENA DROŻDŻOWSKA, córka Hornikowej
- NIEMŻYK, narzeczony Heleny
- STAŚ, braciszek Hani
- RORATOWSKA, koleżanka Hani
- JÓZKA, służąca Tworskich
- JULIUSZ, inżynier
- WŁADYSŁAW, studiosus
- ANDRZEJ GRUDA, uczony wieśniak
- BARTŁOMIEJ MIRKO, gospodarz
- WOJTUŚ, JAŚ } jego synowie
- ONUFRY, zarobnik
- MISTRZ HORACY (późniejszy ks. Robak)
- ZYGMUNT (późniejszy O. Tomasz), KAZIMIERZ, STEFAN, WITOŁD, WACŁAW, JADWIGA, ADOLF, WIKTOR, EDWARD, ANNA, STANISŁAWA } jego uczniowie
- O. TOMASZ
- KS. ROBAK
- PODRÓŻNY
- GŁOS
- CZARNE POSTACIE

Rzecz dzieje się za naszych czasów w jednem z przedmieść większego miasta polskiego.

Pierwszy akt od następnych oddziela rok czasu.

Pani Eleonorze Przewłockiej
z wyrazami
czci i wdzięczności.

AKT I.

OFIARA PRZYJAŹNI.

(Mała na niebiesko malowana salka; w pośrodku długi biały stół, wokół stołu białe krzesła; na ścianie Chrystus na krzyżu, podobizny trzech wieszczów i Kościuszki).

SCENA I.

JADWIGA I MIRKO.

Mirko. Pochwalony... A tak, czy to tutaj? *(podając list).*

Jadwiga *(odczytawszy adres).* To tu, — spocznijcie.

Mirko. Bóg zapłać. Sześć mil zrobiłem i aż się nogi uginają podemną.

Jadwiga. Wy z daleka?

Mirko. Od Kalwaryi.

Jadwiga. I macie ochotę należeć do nas...

Mirko. To skróś dzieci, panienko. Ten list ta od plebana. Ja niepiśmienny, nie wiem do kogo, tyle, com zapamiętał ulicę i numer domu, ale zdaje się, że to tu, skoro panienka tak powiedziała.

Jadwiga. Ależ to tu, nie bójcie się o to. Dużo macie dzieci?

Mirko. Mam ta dwóch synów.

Jadwiga. Ani jednej córki! Czy to takie szczęście mieć tylko syna?

Mirko. Jak dla kogo. Niejedni chcieliby choć co, a nie mają.

Jadwiga. Jak Pan Bóg nie daje.

Mirko. Juści, to wszystko bez to picie. Mówił mi pleban, że wódka to rodzona siostra dyabelska.

Jadwiga. A prawda, wszystko złe w trunku ma swój początek. Kto chce być wolnym od dyabłów, musi się wyprzysiądz kart, wódki, kobiet i tytoniu.

M i r k o. Już dwanaście roków jak nie piję i nie palę. Całe moje nieszczęście to te dzieci.

J a d w i g a. Posyłacie je do szkoły?

M i r k o. Żeby to.

J a d w i g a. Więc uczą się rzemiosła...

M i r k o. Chcieliby to porządnie pracować. Im lekki zarobek w głowie, jak nieprzymierzając poganom. Były to nie głupie chłopaki, oj były.

J a d w i g a. No to cóż właściwie oni robią?

M i r k o. Kiedy wedle ustawy miałem ich oddać do szkoły, przedtem poszedłem z nimi do fary na katechizm przed nieszporem. Ksiądz się ich pytał — kto się to urodził w Boże Narodzenie i gdzie? Odpowiedziały ci tak mądrze, aż się sam ksiądz zadziwił, skąd w takich chłopcach tyle filozofii. Zaraz ich pogłaskał i obrazkami obdarzył.

J a d w i g a. To w Galicyi dzieci chodzą do kościoła na katechizm?

M i r k o. A jakże, co niedzielę i w każde święto popołudniu. Chodziły tak bez miesiąc, aż serce rosło, jakem na nich popatrzał. Raz wychodzę z nimi od fary, a tu jakisik wysoki, czarno ubrany staruszek, przystępuje do mnie i mówi, żeby ich wziął na naukę do miasta za darmo, gdybym ja się na to zgodził.

J a d w i g a. Za darmo?

M i r k o. A jakże, za darmo, to i dałem. Odtąd nie widziałem ich ze dwa lata. Jednego roku przerobiłem u Sasów, drugi cały przeleżałem w szpitalu. Tyle co matka do nich zaglądała. Raz, gdy od nich przyszła, ślepia miała czerwone i gębę jak opuchniętą... Ledwo zdjęła przyodziewek, jak nią nie rzuci frybra, jak nie zacznie trzepać... myślałem że skończy... ale ją opuściło koło północka.

J a d w i g a. Cierpiała na wielką chorobę?

M i r k o. Ale gdzie tam, nigdy! *(po chwili)* zwlekła się z łóżka, klękła przy mojem leżysku i zaczęła lamentować i błagać, żebym szedł dziecka odebrać, bo zginą. Byłem zdrowszy, ale jeszcze mię kłuło po krzyżach i doktory kazały leżeć i okłady zimne robić... a tu mróz siarczysty i sześć mil drogi. Alem poszedł, juści, że jak po śmierć. Czwartek — dzień nie targowy... ale ci ta Pan Bóg był na mnie łaskaw, bo wnet coś

na drodze zadudniało — słucham — ktoś jedzie — ano, znajomy żyd — tak mię wziął na wóz i dojechałem do samiuteńkiego miasta. Pognałem prosto do zakładu... i chociaż tam nigdy nie byłem, znalazłem. Akurat mliko przywieźli...

Jadwiga. Jak się nazywa ten zakład?

Mirko. Panienko, dałem słowo uczciwości, nie mogę...

Jadwiga. No, to dotrzymajcie słowa — i cóż dalej?

Mirko. Brama była otwarta... pode bramą kupa chłopaków obdartych, brudnych, lota i krzyczy przekleństwami... Widzę wśród nich i moje.. patrzę i nie mogę poznać, odmienione czy co? Tak się ich pytam, co się z wami dzieje? Nie śmiały mówić, ino się rozbeczały. — Dopiero starsze chłopaki tłomaczą, co dyrektor biją a głodzą. He! taka nauka! Poszedłem do kancelaryi i dziecka wziąłem. On ta może i dobry człek, ale nie pedagog. Oj, Bóg mię bardzo pokarał. Wziąłem ich do wsi, posyłałem do wsioskiej szkoły, ale nijakiej z nich wyręki... tylko wstyd... Sam nie dam rady. Ale słyszałem, że tu ktoś się rozumie na dzieciach, tak też przyszedłem... pleban ta przedtem pisał mu o mnie a i teraz dał przypomnienie w tym liście; jak ta on nie pomoże, to się sprawdzi co nieboszczka wróżyła...

Jadwiga. A cóż się waszej stało?

Mirko. Gryzła się tem po cichu w sobie, aż ją raz za serce ścisło... na zawsze...

Jadwiga. Ciężkie to wasze życie.

Scena II.

JADWIGA, MARYA, HANIA.

Marya do Hani. Chciałabym z tobą pomówić. Dopiero czwarta, a wykładu nie będzie wcześniej jak o szóstej. Wy gospodarzu, co powiecie?

Mirko. Mam ta interes, proszę łaski pani.

Jadwiga. Haniu oddasz ten list Horacemu. A wy Mirko, przyjdźcie za godzinę.

Mirko. Pójdę po moich chłopców.

Jadwiga. Są tutaj?

Mirko. A są ta na dole.
Jadwiga. A to chodźmyż po nich.

Scena III.

MARYA, HANIA.

Hania. Ty słuchaj, ja nie chcę, nie chcę!

Marya. I tak wcześniej, czy później polecisz ku temu ognisku jak ćma na zgubę. Ja wolę, ażeby mi odrazu ogłoszono: zginiesz na rusztowantu! niż, żeby mię do ostatniej chwili dręczono nadzieją — wolności! Kazimierz nie jest obłudnikiem.

Hania. Och, on zanadto szczery i dlatego niebezpieczny.

Marya. Czy dlatego, że odkrywszy swoje plany umożebnia ci zarazem obronę?

Hania. Bynajmniej! ale, że usiłuje mnie przekonać o bezskuteczności oporu.

Marya. Ma zupełną słuszność, bo co pomoże opór, gdzie jest konieczność z wewnątrz idąca?

Hania. Nie tak nauczała mnie matka.

Marya. Ależ wszystko da się ze sobą pogodzić. Sam Mickiewicz powiada, że kto nie upadł za życia ni razu, do nieba nie trafi odrazu. Przypomnij sobie tylko Zosię... Próżno jej pragnęli Józio, Antoś i Oleś... lilią wzeszła i lilią porzuciła świat... Czy jest teraz szczęśliwą? — Chroń Boże drugiej Messaliny, ale jeżeli chcesz pójść z nami, to stań się człowiekiem, ażeby stać się

Głos. Aniołem ha, ha, ha!

Scena IV.

MARYA, KAZIMIERZ, HANIA.

Marya. A, jesteś. Pomówcie no ze sobą. *(wychodzi do drugiego pokoju).*

Kazimierz. Wiedziałem, że się zgodzisz...

Hania. Jeszcze mogę zaprotestować!

Kazimierz. Dziś już zapóźno.

Hania. Wcale nie.

Kazimierz. Ja cię już przekonywać nie myślę. Mam daleko ważniejsze rzeczy do czynienia, — jeżeli ktoś jeszcze dziś do tego stopnia kocha własne ciało, że waha się je poświęcić dla wyższych celów, ten niech zostanie na ziemi.

Hania. Czy ta ofiara jest koniecznie potrzebną?

Kazimierz. Tak, koniecznie. Ale pocóż ci to mówić! Wszak uczyniłaś mnie swym wodzem. a czy wódz jest obowiązany składać żołnierzowi sprawę z dróg, jakimi zamierza prowadzić go do zwycięstwa?

Hania. Czy niema innej drogi?

Kazimierz. Jak dla nikogo, tak i ty musisz przejść ślizkie i urwiste wpierw, nim się na bezpieczne wydostaniesz.

Hania. A jeżeli ugrzęznę? To co?

Kazimierz. Moja to rzecz ustrzedz cię od tego. Ziarno im głębiej, im na lepszą ziemię padnie, tem silniej prze w górę... — jestem jak ta ziemia... kto mnie się powierzy, kto ze mną upadnie, ten mnie zmusza, ażebym go na głębokość jego upadku, wyniósł w górę, ku słońcu...

Hania. A jeżeli nie będziesz miał sił?

Kazimierz. Tego się nie obawiaj, ja siłę moją czuję. Więc powiedz: tak lub nie!

Hania. Nie.

Kazimierz. Gdzie u ciebie honor? Kto łamie słowo, nie wart żeby z nim mówić. — Większa połowa już się dokonała; teraz chodzi o formę, o uzupełnienie tego, na co dusza dawno przyzwoliła. W liście wyraźnie się zgadzasz.

Hania. Nie zastanowiłam się dobrze.

Kazimierz. Kłamiesz! Miesiąc trwała nasza korespondencya. Wiedziałaś co czynisz. — Ale słuchaj, nie mów: tak, ani: nie. Wodzem twoim jestem, za mną! bo śmiercią cię ukarzę! Życia ciału nie odejmę, tylko w ducha martwość zionę... Nie sądź, ażebym ja to uważał za cel, nie, to tylko środek do uczynienia z ciebie hartownej, świadomej siebie i gardzącej żądzą — istoty. Gdy raz upadniesz, nauczysz się nie upadać więcej, a wtedy nic ci już nie przeszkodzi wznosić się ku niebu. Przypomnij sobie tę chwilę, w której miotała mną namiętność, a ty byłaś wzruszoną do łez. Pamiętasz... Czyż

to nie zaświadcza, że ja umiem się hamować? że ja wcale nie o sobie myślę, choć każę ci złożyć ofiarę z anielstwa?

(wchodzi Marya).

M a r y a. Przekonałeś ją nareszcie?

K a z i m i e r z. Ach, tak.

H a n i a. Pobiłeś, ale nie przekonałeś.

M a r y a. Haniu — dziecko! — Kobieto! *(po chwili)* Rozejdźcie się; już się schodzą, a niektórzy z nich mają dobry wzrok.

SCENA V.

(powoli izba się zaludnia).

MARYA, KAZIMIERZ, STEFAN, WACŁAW, ADOLF, EDWARD, ANNA, STANISŁAWA, ZYGMUNT, WIKTOR I INNI.

S t e f a n. Proszę o korektę.

A d o l f. Dewotki oszaleją ze złości.

W a c ł a w. Znakomita rzecz. Nie mogę się z nią zgodzić w wielu punktach, ale przyznam się, że po przeczytaniu doznałem pewnego rodzaju nienaturalnej rozkoszy.

S t a n i s ł a w a. Ja zupełnie przeciwnie. Wszystko wydaje mi się jasnem i naturalnem.

A n n a. Nie wszystko rozumiem, ale odczuć potrafię.

M a r y a. Wytłómacz w jaki sposób to odczuwasz?

A n n a. Wytłómaczyć tego nie potrafię, ale czuję, że tak jest.

S t e f a n. 9 korekt, było rozdanych 12. Czy kto zatrzymał jeszcze?

Z y g m u n t. Ja jeszcze nie przeczytałem.

(Horacy wchodzi szybko i zaraz siada. Hania oddaje mu list).

H o r a c y. Wartoby się dzisiaj zastanowić, dlaczego to, gdy człowiek w XIX. wieku zdobył podobno wszystko, o czem poprzednie wieki nie śmiały zamarzyć, dlaczego mimo zbadania i opanowania materyi, panuje powszechne niezadowolenie i rozpacz, bo to właśnie co zdawało się przynieść moc, potęgę, no, nie wiem, chyba równą już nadprzyrodzonej, zawiodło i popchnęło w coraz to większą niepewność. Postępuje się wprawdzie naprzód, ale co krok, tem grubsze ciem-

ności, tak że na właściwą drogę trafić trudno. Miłość, nienawiść, pycha, zazdrość, skąpstwo, fanatyzm nawet, te główne namiętności, jakie poruszały dawniejszymi ludźmi, u współczesnych nie występują już tak wyraźnie; natomiast wszystkie inne a szczególnie najzgubniejsza ze wszystkich żądza używania rozkoszy kosztem własnego zdrowia i zbawienia, przybrała tak groźne, zatrważające rozmiary, że doprawdy strach o tem pomyśleć. Dzisiaj wszystko działa w tym kierunku, ażeby człowieka odwrócić od zagłębiania się w samym sobie. Literatura nowoczesna jest tylko środkiem dostarczającym duszy ludzkiej nowych wrażeń; wiedza w materyaliźmie, sztuka w realiźmie ugrzęzły, a o te dwa żywioły społeczeństwo się oparło, w nich swoje nadzieje złożywszy. Cywilizacya szuka w przemyśle zbawienia, a ci, którzy mówią o wierze, o nadziei, o miłości, tych poczytuje się za marzycieli, których idee nigdy nie staną się ciałem. Wszyscy odczuwają potrzebę prawdy, a jakże mało kto chce tej potrzebie zadośćuczynić. Tą potrzebą ludzkości całej, tą prawdą, która może nie jedną duszę ale miliony dusz oświecić, nasycić i nakarmić, jest moi drodzy, Objawienie.

SCENA VI.

(wchodzi Jadwiga, później Mirko z chłopcami).

Mirko. Pochwalony Jezus Chrystus.

Horacy. Na wieki wieków... Kto tam? A to pewnie Mirko... Siadajcie. Chłopcy, tu bliżej. *(po chwili do otoczenia)* Przypatrzcie się tym chłopcom. Czyście widzieli kiedy w twarzach takich malców co szpetnego?

Wacław. Oczy zapadłe jak u starców...

Wiktor. Mali grzesznicy.

Stefan. Doprawdy, żem się przeraził.

Horacy. I niema być lud ciemnym, do zbrodni skorym, gdy dzielni skądinąd wychowawcy, produkują przyszłych niewolników. Słuchajcie, tymi chłopcami my się zajmiemy. Pokażą się jakie zdolności, to będziemy ich uczyć, a nie,

to przynajmniej okiełzamy ich dziką naturę, uczyniwszy z nich pracowitych obywateli. — Jak wam na imię?

Jeden chłopiec. Mnie wołają Bydłoń.

Horacy. A ciebie?

Drugi chłopiec. Na mnie...

Horacy. Widzicie, ja się was nie pytam o to, jak was w zakładzie wołali, tylko o imiona, jakieście na chrzcie św. przyjęli.

(Chłopcy milczą).

Mirko. Temu Wojciech, a temu Jasiek.

Jadwiga. A umieją oni czytać?

Mirko. Podobno że umieją.

Horacy. Tak ojcze wracajcie do domu, my tu za łaską boską naprawimy, co tamten zepsuł.

SCENA VII.

CIŻ I ONUFRY.

Mirko. Onufry!

Onufry. Bogacz!

Horacy. Znacie się?

Mirko. Toć to znany pijak z mojej wsi. Przepił całą chudobę.

Horacy. Czego żądasz człowiecze?

Onufry. Chcę zarobić na chleb.

Horacy. Wyrzekniesz się wódki?

Onufry milczy.

Horacy. Siadaj tam pod oknem i namyśl się.

Mirko. Pochwalony...

Głosy. Na wieki...

Edward. Jakiś podróżny — Mistrzu.

Horacy. A to ty Adamie, proszę, przejdźmy do drugiej izby.

(Przechodzi wraz z przybyłym do drugiej salki).

Wacław (do Wiktora). Jak odbiorę to wam pożyczę „Wzlotów“.

Wiktor. Jak powiadacie?

Adolf do Wacława. Czy pójdziecie na zsiadłe mleczko?

Wacław. A jakże, pójdę.

Wiktor. W taki mróz, bójcie się Boga.

Wacław *(obrażony)*. Niespodziewałem się po panu...

Wiktor. Ależ przepraszam, o cóż się pan obrażasz?

Adolf. Kto jest ten z brodą patryarchy?

Wiktor. Poeta.

Horacy. To dzisiaj już nie będę mówił. Jadwiniu, zaprowadź chłopców do mieszkania. Onufry niech wam pomoże wydobywać z pak te książki. Dać mu chleba i uważać na niego. Aha, muszę wam oznajmić, że Maryą i Kazimierza wykluczam od wykładów na tak długo, póki nie zastosują się do obowiązujących moich uczni warunków. A teraz chodźcie, pójdziemy nawracać niewiernego... Haniu, ty zostań na straży ogniska... Westalek.

Hania. Nie, nie zostaję bez niej.

Horacy. Lilio, umiłowana siostro moja, dokąd cię wiedzie egoizm przyjaźni.

Hania *(z ironią)*. Lilio!

Horacy. Płomień ofiarny zgaśnie u tych ołtarzy bez ciebie...

Hania. Niech Jadzia, niech Stanisława...

Horacy. A gdzie przysięga?

Marya. Przysięga wiodła w grób za żywota, a nie w świątnicę życia...

Horacy. I ty jej wierzysz?...

Marya. Tobie ma wierzyć?

Horacy. Więc wybieraj: drogę ku niebu z nami, lub ją i zatracenie...

Marya. Niestety — dawno wybrała.

Hania. Bądź zdrów, mój mistrzu!

(Wśród obecnych poruszenie).

Kilku. Hanka! co ty robisz?

Horacy. Dobrze, poznasz błąd po niewczasie, ale zaklinam cię, wyrzeknij się tej przyjaźni, z której ja ci zgubę wróżę...

Marya. Od lat dziecięcych byłam jej siostrą...

Horacy. O byłaś siostrą — pokusą; wynijdź stąd, nie kalaj czystości tych ścian!

Marya *(odchodząc pociąga za sobą Hanię)*. Sprzysięgliście się na mnie.

Horacy. Aniele stróżu! strzeż jej kroków... nie dopuść... zwróć nam zbłąkaną duszę...

(Ciąg dalszy nastąpi).

HASŁO.

To nie zasługa iść utartą drogą
Równym gościńcem dochodzić do celu,
Gdy razem z nami tysiące iść mogą
Przed nami dużo — i za nami wielu!

Ale iść ścieżką zasłaną cierniami
Gdzie po dwu stronach czarna przepaść dyszy,
Taką drożyną iść musimy sami
Bo na niej mało znajdziem towarzyszy.

Ale iść trzeba dzielnie i wesoło
Bez skargi ducha, bez jęku rozpaczy
Wtedy możemy z dumą podnieść czoło,
I na świat cały popatrzeć inaczej!...

Halina Stojałowska.



Bajeczny list.

p. Z. D. K.

Bądźże mi czystem sercem pozdrowiony
daleki Muzy mojej Przyjacielu,
Przez Kortezana chleba pozbawiony.
Jeżeli przyjaźń każda ma na celu:
wzajemnie serca otwierać i koić,
powierzać skryte myśli i zamiary,
przeciw tyranom zrzeszać się i zbroić...
i w sercach braci niecić ogień wiary,
co wie jak miłość uczynkami dowieść...
a jedna wzbudza odwagę i męstwo
w tę wieszczów naszych o dniach przyszłych powieść,
w zwycięstwo krzyża i w Polski zwycięstwo:

to ja Cię wzywam, odezwij się, powiedz,
czy w imię takiej kochałeś przyjaźni?
zanim Cię zimny pochłonie grobowiec.
Dotąd Cię widzę we mgle wyobraźni,
i dziś mi oczu Twoich wyraz smętny,
jak gdybym wczora Cię żegnał, pamiętny.

I w oczach moich z szumem się przewala
jak zdrój wezbrany nagle, czasu fala...
i czuję każdej chwili kształt, co słowem
dni przeszłych do mnie przemawia widmowem.

W wieczornym Ciebie widzę zadumaniu,
jak wstrząsasz pragnień zawiedzionych urną...
budzę Cię — ledwo odpowiesz wołaniu...
a błyśniesz twarzą zdziwioną i chmurną;
czytam „ad Laudes“, — lecz próżne to trudy;
powtarzasz zrazu — wnet Twój głos przycicha
i znów w zadumę popadasz, jak wprzódy,
a ja się zżymam, czemu tak, do licha,
pieśnią Psalmisty daremnie się kuszę
od wspomnień szczęścia oderwać Twą duszę.

Wspomnij polskiego postać Apostoła,
co dysputował z Tobą o spowiedzi...
w uściech pokora a duma u czoła...
oczy i lica ogniste jak z miedzi...

Hej, nie zazdrościć mu oczu sokołom,
spojrzy i duszę do nitki obnaży...
dziś zbuntowanym podobny aniołom...
miłość im wdziękiem zorzy bije z twarzy,
w oczach słoneczność lśni i nieśmiertelność,
a serce wzbiera goryczą i pychą...
Ach, Matko Łaski, przez uczuć rzetelność,
jaką ku prawdzie pała, wzrusz się cichą

prośbą i oświeć go swej łaski gromem,
by przejrzał z Szawłem i uwierzył z Tomem.

Zdawało mi się, że wstał któryś twardy
stoickiej szkoły mędrzec i wyznawca:
Trasea Paetus, Tacyt lub ze wzgardy
ziemskości sławny Pytagor, dusz znawca...
co w duchu prawdy czyniąc apostolstwo
ani się strwoży spojrzenia tyranów,
ani go ugnie krzykliwe warcholstwo
i stado dbałych o .... baranów...
lub w grom Opinii zbrojny tłum intruzów,
co nieraz górne zamącą zwierciadło...
choćby się niebo nad światem zapadło,
nieustraszony on lęże wśród gruzów.

Ksiądz Robak z wielkiem prawił powołaniem,
jak w wielu duszach spowiedź budzi wstręty...
bo z świętem kapłan minie się zadaniem,
gdy żal zaledwie z pączka rozwinięty,
co czeka łaski utajonej w chmurze...
niezdrowych pytań poddawa torturze...
a z niepojętej częstokroć przyczyny
nie chce rozwiązać Elsów z małej winy.

Wyrozumiałość tchnęła z Twojej mowy,
słowa jak groty padały wprost w duszę...
aż sam wyznawca się pitagorowy
zdumiał... i wszyscy twarz mieli we skrusze...
a mnie dziś mowy twojej ton namiętny,
jak gdybym wczora Cię słuchał, pamiętny.

Myślałem, może ten krakowski Plato
roznieci w Tobie swych ogni zarzewie —
wstaniesz i święcić będziem nowe lato...
i liść się puści na Wolności drzewie...

A w oczach twoich z szumem się przewala
jak zdrój wezbrany nagle, czasu fala...

i z każdem jutrem nowe brzmią okrzyki...
to gdzieś do walki sprawiają się szyki...

Jeżeli kiedy do Ciebie powrócę,
wraz ci opowiem niezwyczajne dzieje —
poznasz, czem serce cieszę, czem się smucę,
jakie mi z wiosną świtają nadzieje...
dziś wiedz przez listy, jak z panną bogatą,
przywykłą kształty wysmukłego biustu
co rano miękką uplastyczniać watą...
potrafię gruchać, trafiać do jej gustu...
i jej panieńską całość mieć na pieczy...

Ha, ha, wybornie! toż się musisz złościć,
że nie odrazu mierząc w sedno rzeczy
z waryantami piszę i z ogródka
pamięci żyję... ale długo pościć
kazali, dzisiaj jeszcze jak rozwódka
jestem, a jakże, bom się musiał rozwieść
z uczuciem zdrowia i ze snu rozkoszą;
żal mi chciał serce jak trucizna roznieść,
tylko że za mną aniołowie proszą...
Walczyłem z gorzką śmiercią, aż ją zmogłem;
lecz ocalony, próbowałem zginąć
kiedy niemocy dłużej znieść nie mogłem
i chciałem z wzgardy żywotem — zasłynąć.

I słońce zaszło... cisza ciężka, głucha,
jak gdy za życiem zawrą się oścież,
stała się naraz w głębiach mego ducha
i z ciemnościami zawarłem przymierze.

Któż serce smucił i czyje tęsknoty
żebrały kiedy u Bogów o łaski,
jak długo burza nie zwiała mgły złotej,
co miłość zdobi w ideału blaski?
Lecz kiedy z rzeczy zostanie kształt nagi,
w kim się nie budzi zwierz pod młotem ciosów?

cóż jest, co jeszcze ma choć pozór wagi,
żeby nas z wrogiem nie bratać niebiosów?

Więc w pierwszym gniewu wściekłego porywie
węgiel żarzący rzuciłem we włosy...
płomień w kędziory bujne wżarł się chciwie...
gdy wtem Apollo krzyknął w głos i losy
moje zatrzymał; na rozsądku szali
zaważył głos ten — cierpiałem — lecz w końcu
niebo się brzaskiem wiosennym zapali
i błysło słońce... już ja wszystko słońcu,
nie Eskulapom zawdzięczam. O, drogi!
a teraz oczy wytęż — i przez bogi!
żebyś ją widział! ach, byłbyś mi wdzięcznym
do samej śmierci, a tak, któż wie, żali
nie zechcesz kląć mnie przy blasku miesięcznym.

Ty wiesz, że serce mam z angielskiej stali,
że łatwiej konia stepowego schwycić
i upolować wiatronogą sarnę,
niż mnie za serce ująć i zachwycić.

Usta z koralu — oczy jak nie czarne,
to turkusowe; czy ja wiem? jak w tęczę
patrzyłem na nią — a dziś, żebyś ubił,
już nie pamiętam, — ale zato ręczę,
że nosek zgrabny, a głosik cudowny.
W Teatr japoński tak się duch mój wlubił
i tak się stałem dziwnie małomowny,
że pytaj: jaka? wysoka, czy nizka?
chuda, czy gruba? to już ani słowa
dziś się nie dowiesz... a byliśmy z blizka
i przy jej główce była moja głowa.
Ale to jedno co wiem i to pewnie:
ojciec ją wołał imieniem Danusi...
nie powiem dalej, bo się spłaczę rzewnie
jak stara panna, kiedy krew ją kusi
pod jesień życia...

Wybacz, lecz śmiem wnosić,
że Ty już widzisz, jak przez mgłę, jej postać...
a mnie tak trudno byłoby przeprosić,
gdybym jej wdziękom w czem nie umiał sprostać
i z winy oka wiernie odmalować.
Przez wzgląd na wzniosły zawód poetyczny
nie mogę przecie natury fałszować,
choć wiersz mój taki sobie satyryczny.

Bywa, że czasem pod wieczorną ciszę,
gdy nad światami wschodzi księżyc mgławy,
rodzice sobie mówią w górnej pysze:
Nusia do wielkiej powołana sprawy,
przez nią duch spłynie w mdły naród człowieczy...
Feba rozkocha, a on trosk zawiłość
rozwiąże naszych, na chwilę się pieczy
zrzeknie nad sztuką — i tu w swej osobie
zstąpi i wieczną jej ślubując miłość,
za żonę pojmie... a potem to sobie,
pojadą pewno w kraj snów i uniesień —
do Neapolu! a później to w szaty
z kwiatów odziani, na deszcze i jesień
wrócą w Olimpu złociste komnaty —
tam los z pewnością i nam nie poskąpi
swych złotych gruszek...
...a wszak — przez te śluby
zgoda na ziemi zawładnie i zstąpi
duch w serca...
klątwa i pioruny zguby
tym, coby śmieli wnosić w górę pięście
i plwać na ród nasz! przekleństwo! przekleństwo!
— Raj, Olimp, gruszki! Oh, oh, co za szczęście
przyniesie światu córki mej małżeństwo!

Oto już kładną spiżowy fundament
pod rajski ogród dla nędznej ludzkości!
O święte śluby! o trzeci testament!
teraz się pocznie epoka — miłości...

I w oczach moich z szumem się przewala
jak zdrój wezbrany, mdłych uniesień fala,
co rozpętawszy bieg na gruncie z piasku
w snów swoich własnych rani się potrzasku.

Jak? nie rozumiesz ostatniego wiersza?
właśnie rzecz na tem polega, byś zgoła
go nie rozumiał, choć publika szersza,
czasem o taką strawę głośno woła.
Bo wszakże to jest alfą i omegą
dekadenckiego wiersza czy też prozy...

o, jakże smutno dni pod jesień biegą,
dzień w dzień smutniejszy... anioł martwej grozy
siada u czoła osowiałych drzewin
lub w chmurze wichrów nad ścierń traw i krzewin
hula z kostrzewą i straszy...

gdy czarną
mgłą otulona ziemia sen udaje,
a człowiek wielkość swą roztrząsa marną
i duchom sprawę z uczynków dnia zdaje...
dziwnemu zadość czyniąc nałogowi
palę kadzidła u Przeszłości proga...
powtórzyć? kiedy... nuż język głosowi
a głos znów myśli skłamie? wolna droga!

Żeby tak Wenus Milońska z jej twarze...
Wartoby oczy przymknąć i rozgrzeszyć,
bo Piękno nawet ślepcom czcić się każe
czar swój odczuwać i duszę ucieszyć...

Gdybyś ją widział, ach, byłbyś mi wdzięcznym
do samej śmierci! a tak, któż wie, żali
nie zechcesz kląć mię przy blasku miesięcznym!

Ot, kiedy wieśniak polski między zboże
postawi wiechę na postrach, nie iżby
wzdrygał się dzielić ziarna, chleby boże,
ze skrzydłowładną zgrają ptasiej ciżby,

lecz dla ochrony swych plonów od straty —
otóż mój książe, jeśli się podoba
zaryzykować półroczne intraty,
to dziś przy świadkach załóżmy się oba,
że podobieństwa między nią a strachem
nie ma ...przepraszam! — jedno oko kocie
mogłoby dostrzedz... eh, cóż, tu nad błahem,
głupstwem się bawić i tracić słów krocie!

W śnie znów mrocznego mi błysło zwidzenia
jak wstrząsasz pragnień zawiedzionych urną...
budzę Cię — mówisz coś jak od niechcenia
i błyskasz twarzą zdziwioną i chmurną.

A w oczach naszych z szumem się przewala
jak wartki potok górski, czasu fala...
i z każdem jutrem łódka życia krucha
włóczy się błędniej po życia otchłani...
a nigdzie żywej duszy ni przystani!...
i oto w mrocznych głębiach mego ducha
stała się cisza u bogów przeklęta,
jak gdy za życiem zawrą się oścież,
a serce z żalu zwiędłe, nie pamięta,
że kiedyś głośno biło... w dobrej wierze...

Na Zewsa! gdyby nie hufiec młokosów,
którym jej przepych imponuje pawi...
głowębym sobie obdarł z wszystkich włosów
z miłości dla niej... a tak, śmiech mnie dławi
a czasem nawet o ziemię mną ciska,
gdy adonisom tym się przyjrzę z blizka.

O najpiękniejszy z porywów młodości
kiedy to serce serca nie odgadnie,
lecz ślepo kocha i wierzy miłości,
nim bezwzajemność ócz mu nie otworzy,
i mgłą zawodu na serce nie padnie,
przez jakież dzisiaj wskrzesić cię zaklęcie?

O ty, co bierzesz czasem pozór zorzy,
kiedy z otchłani morskiej się wynurza...
zjaw się na chwilę w twych godowych strojach!

Widzieć twe lica, co płoną jak róża...
widzieć twą postać, co się w snach z błękitu
jak zorza w zwiewnych, pajęczych zawojach
na kolorowe blaski rozpłomienia...
a z serca pieśni nie dobyć zachwytu,
i słonecznego nie zakląć promienia,
by w ślad za tobą, gdzieś ku tęczom nieba
uniósł... ach, biada, i rwijcie się struny,
bo kto śmiał śpiewać o kochance Feba
padnie z rąk jego...
burza...
grzmią pioruny.

Ha, nie myśl tylko, żem trubadur nocny
co pod jej gankiem resztek wdzięków żebrze!
Chcesz, a mój wzrok ją uderzy wszechmocny,
pieśnią ją zwalczę i zadrży jak w febrze.

A pieśń jak harfy Orfeusza dźwięki
tak dziwnie działa... widzisz już z obłoku
do mnie tu, piękna lodowemi wdzięki
spływa jej postać... nie, tego widoku
nie wypowiedzieć — zaledwo na ramę
takim obrazom starczą słowa same.

Przy piersi lilia i dębowe liście;
Główka spowita w jedwabie koronek
i w złotych włosków spromieniona kiście;
oczy, te oczy, co z ciemnych obsłonek
jak gwiazdy kiedy z za chmur błysną w górze!
serce z nich patrzy, a kiedy z nadmiaru
szczęścia głębokie zrobią się i duże,
to właśnie tyle mają w sobie żaru,
ile dwie krople dżdżu, gdy je wschodzące
na listku róży rozpromieni słońce.

Różanych ustek otwarła korale
i na bok główkę pochyliwszy jasną,
przez fiolety spojrzeń i opale
mówiła słodko: łąki szatę krasną
a kwiaty woń swą tracą, więdnąc prędko,
gdy od nich słonko odwróci swe lice —
tak też gdy ja się... tu przerwałem giętko
i wykrzyknąłem: o wy nieszczęśnice!
co z pawią pychą, z słońca wy się Zniczu
wciąż natrząsacie, czoła z czci odarte
przyrównywując takiemu obliczu,
co pod stopami bogom świetnieć warte!
matki za bogów wydawać was skore,
a wy i losu... nie godne, —
serca w was głuche, dusze krzywe, chore,
choć szaty wasze strojne, szumne, modne!

Pomyślisz, na śmierć chce mnie dziś zanudzić,
a ja Ci klnę się, że nie mam ochoty
sprawą twojego pogrzebu się trudzić;
żyj więc i pozwól mi nazwać jej cnoty!

Obce jej wszystkie muz panieńskich łgarstwa
o jednem słowem serc męzkich podbiciu;
pełna finezyi, talent do malarstwa
co widny nawet w jej zewnętrznem życiu,
po ojcu pewno przekazany w spadku,
na którym wspiera się dziś parnas sztuki,
wielkie na przyszłość rokuje nadzieje:
wszak kto z nas niesie przyszłości w zadatku
talencik, trwałość, ambicyę nauki,
to ten geniuszem wieków się okaże.

Jak na dzisiejsze czasy w zgoła wielki
rozum i dowcip stroi swoje zdania;
ach, nic dziwnego; wszakże do kropelki
sączyła mądrość z teoryi poznania...
i pilnie biegła z wykładu fizyki

na rzecz o sztuce, ze sztuki na polskie,
lub kurs kobiecej nowszej polityki...
a wreszcie misye ważne apostolskie
po różnych kołach spełniała z zaparciem
walcząc z przesądem i nasieniem czarciem.

Zresztą jak wszystkie układna, pobożna
i ugrzeczniona; by lekkiego rysu
nie ma w niej z grubej mieszczańskiej oschłości
a już tembardziej modnego kaprysu...
przy obcych może nerwowa i próżna...
dla swoich zawsze miła, w lot usłużna...

Taka jak inne tu gdzie myśl o szczęściu
to żądza złota; jak wszystkie po bosku
śniące o prędkiem książęcem zamęźciu,
w których śpi serce ulepione z wosku.

Przechodzi dumna lecz o czem też marzy?
nie tyle piękna prawdziwą pięknością,
jak tym uśmiechem co wykwita z twarzy
i krzyczy żądzą życia i młodością.
I zawsze płocha jak nimfy figlarne —
aniołek wiosny, pierwiosnek pozoru —
lecz serce pustką i nędzą ciężarne,
jakby ją widmo urzekło pomoru.

A w oczach moich każda losu fala
jak potok znagła wezbrany, przewala
każdą myśl wolną, nadzieję i słowo...
tak walczą mroki z jutrznią życia nową.

Choć gromy zagrzmią, choć bój się zażegnie,
żadna moc w jarzmo nam karku nie wegnie,
ani żadnego miecz i głos olbrzyma
nadchodzącego jutra już nie wstrzyma,
bo w oczach naszych każda czasu chwila
owoce z drzewa Wolności nam schyla.

Jak pielgrzym, który do śmiechu się zmusza
choć wie, że ziemię ostatni raz żegna,
ach, tak się zawsze śmieje we mnie dusza,
ilekroć gorzkich tęsknot nie odegna.
Na równi z żółwiem wlokę się do celu
jak duchy klątwą rażone ślepoty;
sen o Miłości, sen o cudach wielu...
zawiódł i wszystkie zawiodły tęsknoty.

Jak wdzięcznie chmurki tańczą wśród błękitów,
gdy pierwsze jutrzni promienie zabłysły;
patrz, słońce pierwszy uśmiech z za gór szczytów
śle naszym niwom nad brzegami Wisły,
a jednak czemu tak smutno w ojczyźnie?

Czemu tak smutno? gdzie natchnieni wodze?
tonąc w powszechnej dusz i ciał zgniliźnie
gubimy resztki mocy gdzieś po drodze
duchy niewolne, a serca kamienne!
o, czy w nas widma pokutują senne?!
i cóż gdy naród szczypty szczęścia chciwy
pozwie nas przed sąd Boga sprawiedliwy?
jak się odejmiem skargi takiej gromom
co krzywdą świadczy wszem wobec widomą?

Gdyby dziś który z pierwszych w Polsce piewców:
pan Rey z Nagłowic lub Twórca „Odprawy“...
powstał i głębiej zajrzał w duszę siewców...
i tych co dzierżą ojczystej ster Nawy...
zdumieliby się, że te same hasła
i dziś nam rządzą, co ich w zgubę gnały...
tylko że dla nich Wolność w oczach gasła...
my ją jak posąg słońca skamieniały
na dziwowisko z muzeum narodów
wzięli po ojcach i zadarłszy czoła
pośród zgiełkliwych wodzim korowodów,
przy brzękach bębnów od sioła do sioła...

Zdumieliby się nad robotą mowy,
co grzmi jak piorun lub jak strumyk szemrze...
lecz widok Polski dla nich ani nowy,
ani daleki — bo nareszcie, czemże
nam się pochlubić wolno w ich obliczu?
narodowego gdzie stróżowie Zniczu?!

Byłbym zapomniał o tem, o per Giove!
a Ty nie radbyś przecie takiej luce —
Nusia, czytając raz gazetki nowe,
gdy o najnowszej głos wyczyta sztuce
i o wystawie zwącej się secesyą...
gdzie arcyświetne warto widzieć płótna...
taką na ojca uderzyła presyą,
i tak gwałtowna stała się i butna,
że w końcu rodzic uległ i poświęcić
musiał swą pensyą, — rzekłszy więc: niech pozna,
co w bój o sławę może ją zachęcić
i nie da upaść, choć zawodu dozna...
wybrał się z Nusią do Wiednia.
Ile dni
uszczęśliwiali miasto ci wybredni
wielkich dzieł sztuki znawcowie to pewno,
w annałach Wiednia spisali kapłani...
Mnie bo jest na myśl tę na sercu rzewno
i wicher zrywa się w duszy otchłani
jak ptak przed burzą...
A miałem chęć świetną
złapać powietrza w szwajcarskiej dolinie,
tężyznę zdrowia odzyskać tam kwietną...
lecz fatum chciało... i o złej godzinie
poznałem dziewczę to jak trzcina wiotkie
a jak maliny dojrzałe tak słodkie.

O, moja biała ty stokrótko polna,
niechże serduszko twoje się nie smęci,
że Muza moja, jak motyl swawolna
spisała wszystko na ścianach pamięci...
żałuję... nawet żal mną targał długo,

żem takie głupstwo — przebacz! — i miast jechać
z wami do Wiednia i być tam twym sługą,
wolałem jazdę do Uri poniechać,
bez pożegnania odbiedz Cię w Przerowie,
gdzie mnie spazm śmiechu śmiertelnego złapał
i na dni kilka zatrwożył o zdrowie.

Tak wystygł we mnie ów ognisty zapał,
co serca rzuca pod stopy prześlicznych
losu wybranek... a potem przez gwałty
stapia się w ogień żarów wulkanicznych
i póty zmienia swoją moc i kształty,
aż się nie stanie rozkoszą, co głodna
upojeń, czarem swym zachwyci dziecię...
i puhar szału da mu wypić do dna.

Ale do dalszych dziejów mej podróży.
Panna spogląda na mnie miłościwie —
a nuż powieści rozwój zbyt Cię znuży?...
nie ma odwagi wprost, a więc z ukosa
raz wraz zalotnem spojrzeniem obrzuci; —
zajęty kształtem ojcowskiego nosa,
co z lic jak grzebień wystrzela koguci,
wzamian jej uśmiech rzucam obojętny...
papa odkrząknął — nie, ani z obrazu
mistrzów nie bije wzrok jak jej namiętny!
tu wierz mi, jeśli łaska, albo nie wierz
i parskaj śmiechem z każdego wyrazu —
podeszedł ku mnie i jak biegły dziewierz,
cóż znowu Muzo? popraw się! jak swaciarz
liczy jej cnoty i wdzięki zachwala
i opowiada dziwy o wyprawie...
a mnie się lice rumieńcem zapala...
trwożę się w duchu, nałogowy chaciarz
czy kiedy duszę z takich sieci zbawię?!

Historyo, łaski! zaiste czas jużby —
nie wiem dla jakich mię zniewalasz przyczyn

snuć twoją przędzę?...
wypowiadam służby!
pozwól mi odejść w ziemię Lotofagów,
gdzie uraczywszy się kwiatem koniczyn
zapomnę smutnych o Danusi sagów...

Słabski czuł pociąg do beczących owiec,
kóz i baranów bezrogich a dojnych, —
dawniej klerykał, komik, ugodowiec,
a demokrata w czasach niespokojnych;
raz nawet wrzeszczał coś na konwentyklu
i kandydował na poselski stolec,
lecz że mózg wstrząsnął jazdą na bicyklu
a z wyborcami obszedł się jak golec,
więc urwał w „credo“ i drapnął do Knidos
posłować w Memphis mumiom z pod Abydos.

Wie pan, tak mówił dalej, w Radzie krewnych
mam i Protekcyą, w gwiazdach, orderową —
głosów dla pana miałbym tysiąc pewnych
gdyby na posła... nie, to daję słowo —
i tak językiem ciągle mleć wydoła,
jak gdy w nim żądło swe utopi pszczoła...
Aż ona sama nie wiedziała z twarzą
swoją co zrobić, żeby nie objawić
jak ją te słowa do żywego rażą,
zwłaszcza gdym począł się od śmiechu dławić...
więc się rozperzy i ojcu też dojmie, —
a on nie wiele myśląc, tak na żarty,
nie z gniewu, lecz chcąc dać łaski rękojmię —
jakiż z niej urok bije nieprzeparty!
tu chciałbym głos mieć od słów, kwiatów cichszy
kiedy się sobie skarżą w dzień posępny —
złotych jej włosów fryzurę rozwichrzy...
jakiż to śmieszny człowiek i występny!
żeby gdy iskrę gniewu złość rozdmucha, —
sprawdzać szkodliwe płci pięknej powieści:
że panna cierpi na niedokształt ucha!

Bijmy się w piersi... ach, ten ruch niewieści!

Gdy w filozofii pan intrakausalizm
ciągle odmienia kształt metafizyki...
kto wie czy jutro ultrafeminalizm
w bluszcz ją z bezlistnej nie przekształci tyki!

Oto są moje dni ostatnich dzieje;
wierz mi, że dzisiaj tylko o niej marzę
wszystką nie mocen pogrzebać nadzieje
lub nowym bóstwom poświęcać ołtarze...
i czy z słowikiem czy z skowronkiem rannym
wychodzę w pole i tam w strony Wiednia
patrzę i żalem żyję nieustannym...
i to jest moja modlitwa powszednia.

A, to już może wiesz dlaczego raczej
wolałem Przerów oglądać, niż płótna;
zanimbym stanął u celu, z rozpaczy
byłbym oszalał, lub co gorsza, smutna
byłaby dusza aż do śmierci! srogi
smutek by we mnie zmysł na piękno stępił
i pogniewałbym sobie jasne bogi
i w sercu zgryzł się i jak noc zasępił.

Jak wdzięcznie chmurki tańczą wśród błękitów
gdy pierwsze jutrzni promienie zabłysły!
patrz, słońce pierwszy uśmiech z za gór szczytów
śle naszym niwom nad brzegami Wisły,
a jednak czemu tak smutno w Ojczyźnie?

Gdzie bohatery? gdzie natchnieni piewce?
tonąc w przepastnej dusz i ciał zgniliźnie,
próżno stracone płaczemy południe;
żal za Wolnością gdzieś w ludowej śpiewce
lub w dzień zaduszny odezwie się cudnie.

A w oczach naszych z szumem się przewala
jak rozhukana burza, czasu fala...

i z każdem jutrem łódź ojczyzny krucha
włóczy się błędniej po dziejów otchłani...
a nigdzie jasnej gwiazdy ni przystani!...

Nie wiem gdzie sercu memu pokój wieczny:
czy na tułaczce wśród obcego ludu,
gdzie świat mniej będzie od Polski słoneczny,
czy tu na ziemi ofiary i cudu....

Nim żądłem żalu raniony śmiertelnie
zwiędnę ze smutku i zgasnę z tęsknoty...
ja będę gdyby król-duch walczył dzielnie
za Polskę, wiarę i ojczyste cnoty!

A gdy bój święty w Ojczyźnie się wzmognie
Ty mi niebieskie daj błogosławieństwo!
stu Winkelriedów przelej w pierś mą ognie
i niechaj wezmę Żywot przez męczeństwo!

Bo Tyś jest jeden z tych, co wziąwszy ducha,
ofiarnem sercem każą zakon boży...
i nie kłos pusty Twa wiara i skrucha,
lecz moc ta, która co zechce to stworzy...
Kortezan władzy nadużył przez narów...
a Tyś jak sługa pokorny i cichy,
z pod znaku pańskich nie stchórzył sztandarów
aniś się nadął gorzkiem zielskiem pychy!

. . . .
. . . .
. . . .
. . . .

A teraz proszę, daj o sobie wieści
nim cień twój stanie nad styksową falą,
gdzie błądzą zmarli bez pogrzebnej cześci
i we łzach smutku, jak w ogniu się palą...

nim pokój spłynie balsamem w twe kości...
i do snu serce ukołysze łzawe —
patrz, za górami wstaje duch Wolności...
To walka!
żegnaj!
mnie czas w bój za
Sprawę!

Na wiosnę 1900.

S. A. Kowalski.

Z cyklu: Nowe życie.

Moje Słońce.

Stoję i patrzę na tlejące zgliszcza
dawnych mych cierpień — jeszcze kwiaty płoną,
jeszcze się palą snów moich bożyszcza
wplecione w gruzy złocistą koroną.
Lecz zachowałem postać marmurową;
przekląłem moją miłość i ponuro
wyplwawszy z ust mych tajemnicze słowo
owiłem głowę przekleństw czarną chmurą.
I pomyślałem, że zorza zastanie
ciało me nędzne w kadzideł obłoku,
że się nie zjawi nikt na powitanie,
że łza na wieki zaschnie w mojem oku.
Lecz nim się słońce w fale bursztynowe
odeszło skąpać — wstała postać z głazów
i pocałunek złożyła na głowę,
nie pomnąc zgliszczy smutnych krajobrazów.

Promień otuchy zaczął w serce wzierać,
gdy przyszła dla mnie ocalenia droga —
trudno mi było wśród gruzów umierać...
już nie wzdychałem, — znikła przeczuć trwoga.
I tak mi dobrze teraz, że w łańcuchy
zakułbym przeszłość talizmanem z piersi;
na potępienie rzucił między duchy,

bo mnie zdradzili ci najserdeczniejsi.
Jam jest dziś jeden z tych wielkich mocarzy,
który paproci kwiat znalazł w gęstwinie —
dzisiaj nadzieja zabłysła w mej twarzy — —
strzaskałem puhar, nie mocząc ust w winie.
Dziś mocen jestem — w przyszłość patrzę śmiało,
gdy życie widzę szczęściem gorejące.
Dziś moje serce radością zadrżało,
bo błysło Słońce — ciche, jasne Słońce.

Wincenty Korolewicz.



WIDZENIE.

Kiedyś, kiedyś z łez bezmiaru duch mściciel powstanie
Wzrokiem w ogniu gorejącym twarde pęta skruszy
I ciężarne krwią niewoli stada chmur rozprószy,
Naród biedny swój prowadząc w wolności zaranie...

I prawicą ukazując przeszłości otchłanie
Przepełnione bólów jękiem i żarem katuszy
Rzeknie: „przyszłość wy budujcie mocą własnej duszy,
Jam was zbawił od niewoli — reszta wam zostanie!

I znów błysną miecze brodząc we krwi swych rodaków
Kierowane dzikim szałem urażonej pychy
I zasępią się nad nami tęcze jasnych szlaków,

Przelewając zbrodnie czarne w wolności kielichy...
Wtenczas Stwórca rzeknie smutno: „kajdany was bolą,
Choć od pętów wolność dla was większą jest niewolą...

Jerzy Denker.



Z ciała Cię wyrwę — zdobędę
i całą, jakaś jest
zaklnę w pradawną wieść —
w legendę.
I pójdziesz nakształt Kaljopy
w gwiazdy nieść
imię moje —
pójdziesz błędna polem sinem
poprzez pany, chłopy
pójdziesz...

A z śladów twej stopy
wstaną heroje...
i jawią, jako sny moje
są czynem.

Konrad Radosław Krajewski.

EDMUND BIEDER.

Trymfy.

I.

Żem przeszedł wszystkie męczarnie Prokrusta,
Żem z życia czary spijał jeno jady
I żem w goryczy jeno maczał usta
I rubinową krwią karmiłem gady.

Dziś dumny wstaję z gruzów trzęsawiska
I Moc olbrzymia piersi mi rozsadza
I ogień pali, a w oczach mi błyska
Duma, co z czołem podniesionem chadza.

Wyolbrzymiały w słonecznej pozłocie
Z toporem w dłoni w bór idę dziewiczy
I już się rozpacz mej duszy nie ima.

Ostatnie „vale“ wyrzekłem Tęsknocie
I Życie, Życie wre we mnie i krzyczy
I w duszy kuję Tytana — olbrzyma.

II.

Niech przyjdzie owa Moc, co Miłość zdepce,
Gdy krew mi buchnie w skroń gorącą falą,
I kiedy zmysły me jak młode źrebce
W szalony pędząc lot — mą pierś rozwalą.

Niech przyjdżie owa Moc, co świat zwycięża
I w ogniu złotych słońc hartuje skrzydła.
A gdy rozsadza żar — pierś młodą męża
Nakładać umie psom — zmysłom wędzidła!

Niech przyjdzie owa Moc, Moc szalejąca
Ubrana w bisior tęcz, w słoneczne płaszcze,
I niech rozpali mi sto słońc na czole,

Bo oto w silną dłoń ująłem wolę
I hydrze zmysłów mych zdławiłem paszczę
I w duszy mojej mrok chcę strącać słońca.

III.

O ziemio święta!... Ty wieczna zagadko
Bądźże mi teraz w moc i wiarę szczodra...
Bo w bój za szczęście idę dla Cię matko
I w miecz bojowy opasałem biodra!...

A w duszy gra mi święty ból ludzkości
Co wiecznie bije próżno w słońca chramy
I w krwawych znojach w grób składa swe kości,
Za ono szczęście, którego szukamy...

Po szczęście idę w nieznane krainy
Szukać go będę, póki sił mi stanie!...
I póki w tętnach młodej krwi wystarczy!

Po słońce idę!... na bój!... po świtanie!...
Daj ziemio siłę, bym strojny w wawrzyny
Powrócił z boju z tarczą. lub na tarczy!...

IV.

Rozkołysał się we mnie jakiś dzwon olbrzymi!...
Rozegrały się we mnie błękitne zadumy...
I rozśpiewał się we mnie hymny zwycięskimi
Olbrzym wiarą mocarny, Tytan pełen dumy!...

Rozkołysał się we mnie jakiś dzwon rozgłośnie
I o świętych tryumfach moich bojów gra mi...
I o szczęściu mi dzwoni i o świętej wiośnie,
Co rozzłoci się kiedyś pod memi rzęsami!...

Grajże dzwonie!... Niech głos Twój grzmi w błękitne stropy
I niech wstąpi w otchłanie i łez krwawych bezdno
I słońca ukochanie niech w niżach rozbudzi!...

Grajże dzwonie! i w dusze nieś święte hyzopy
Iżby wzlecieć umiały w nieba sferę gwiezdną
I do życia, do słońca pobudziły ludzi.

V.

Szumią mi dęby tej dziewiczej puszczy,
Co leży cicha olbrzymia przedemną
Nietknięta stopą świętokradczej tłuszczy,
Która nie śmiała w jej głąb wtargnąć ciemną.

Niech szumią dęby!... — Oto dzień wszedł jasny!
Otom wykrzesał w piersiach serce harde
I silną pięścią zdławiłem ból własny,
A mej słabości, jak psu rzucam wzgardę!

Oto mi życie gra słońcem i tęczą —
Oto drży ziemia kędy stopą stanę
Potężny jestem i nie znam co opór!...

Oto ująłem w dłoń krzepką mój topór
I idę w puszczę z mą butą młodzieńczą
Rąbać świetlistą miłości polanę!...

VI.

Nie zstąpię więcej po miłość na ziemię
I nie napoję już serca goryczą!...
Tęsknota czynów w sercu mojem drzemie
I huragany szalone w niem krzyczą!...

Jak orzeł biję skrzydłem po granicie,
A gdy zapragnę, miłość przyjdzie do mnie,
Przyjdzie tęczami strojne młode życie
I me źrenice rozzłoci ogromnie...

Tak!... Mocny jestem oną świętą siłą
Co z nieba umie zrywać gwiazdy złote
I zdobić niemi królewską koronę!...

A choć nie będzie łez nad mą mogiłą
Z radością umrę za moją tęsknotę,
Co w słońce miała źrenice utkwione...

VII.

W słońce i w piękno!... z tą wiarą młodzieńczą,
Co wie, że w piersi drzemie duch olbrzyma,
Co zajasnieje kiedyś skrzydeł tęczą
I siłą ducha słońce w biegu wstrzyma!...

Wyżej i wyżej!... i w dal od mrowiska
Leć duszo moja i rwij swe łańcuchy!
Tam kędy burza piorunami ciska
I gdzie królewskie prowadzą bój duchy!

Leć duszo moja w kraj pachnących wiśni
Nad zadumane jeziora i wody
I życiem młodem tętniące krynice!

Leć i w promieniach słonecznych zawiśnij
I pij czar piękna nieśmiertelnie młody
I w słońcu utop tęskniące źrenice!

VIII.

Niechże rozkwitnie kwiat zasiany wiosną
Niech się rozperli wino w mej amforze
Oto mi skrzydła tęgie u bark rosną
Oto mi pożar pod rzęsami gorze.

Pijany słońcem — miłością upity
W lot barki prężę ku słońcu od ziemi
I w tęcz girlandę i w słońce spowiły
Przed siebie patrzę oczyma jasnemi.

W lot! w lot! ku słońcu! na świetliste pola!...
Nieś mię o dumo i życia potęgo,

Kędy Aryman z Ormusdem bój toczy!...
Niech mi rozjaśni słońce złotem oczy
I niech me życie czystą będzie księgą,
Na której pisze hart męski i Wola.

IX.

Moc wstała we mnie i żar w oczach tli mi,
I otoczyła mię słońc zawierucha
Z piersi mi iskier słup wieje olbrzymi,
I gejzyr wrzący strumieniem z niej bucha.

Co jest przedemną miażdżę i druzgocę
Moc wstała we mnie groźna i szaleje...
Padają dęby puszczy, bledną noce,
I otwierają się w słońce wierzeje.

O święć się mocy młodzieńcza coś wstała,
Za święte ognie w mej duszy tlejące,
I za potężne do topora pięście,

Oto przedemną słoneczna tarcz biała,
I jeśli szczęściem nazywa się słońce
Przemocą wydrę niebu owo szczęście.

X.

O wstąp Miłości jasna w moje sady!
Oto cię gaje czekają pachnące...
Otom Ci cudne zgotował biesiady
Otom Ci z nieba zerwał złote słońce!...

O wstąp Miłości w moje sady kwietne!...
Już się biesiadne w krużach złocą miody...
Na wieniec kwiat Ci najwonniejszy zetnę
I do stóp rzucę róż pełne ogrody...

O wstąp Miłości w kwietne sady moje
I wnieś w mój ogród nieśmiertelne Piękno
I daj mi chryzmat bujnego żywota!

Zdobyłem Ciebie przez trud, bój i znoje!
Wstąp niech me myśli u stóp Twych uklękną!
Oto otwarte ogrodów mych wrota!

XI.

Oto mi Miłość strzeliła w kwiat cudnie!...
I po zwycięstwa idąc nie po klęski
Wstępuję w życia słoneczne południe...
I dumę krzeszę z duszy i hart męski!...

Śnieżystem kwieciem ogrody mi kwitną...
I przyszłość cudną w duszy mojej pieszczę...
I idę dumny w dal jasną, błękitną,
I piersi słodkie wstrząsają mi dreszcze!...

W hartownę duszę mą skowałem spiże
I wypleniłem z niej zielska i chwasty
I naprzód idę na bój po wawrzyny!...

Przed nikim dumnej głowy nie poniżę!...
A gdy polegnę — jako lew grzywiasty
Zostaną po mnie czyny — moje syny.

XII.

Daj mi Miłości lot tęgi i górny
Iżbym nie upadł w pół drogi żywota
W małość i w nędzę, w wir ziemskiego błota
Kości składając przedwcześnie do urny!

O daj mi siłę — ażebym przedwcześnie
Z skrzydłem strzaskanem nie poszedł do trumny,
Lecz młode górne życie prześnił we śnie
Upity słońcem, zwycięstwami dumny.

Miłości moja! Oto tobie niosę
Skrzydlatą duszę, płonącą w pożarach
I laur zdobyty rzucam ci pod nogi...

Daj mi hart woli; daj rzeźwiącą rosę,
Abym przedwcześnie nie spoczął na marach
I nie padł z skronią strzaskaną w pół drogi.

XIII.

Śmiejże się duszo złotą mgłą zasnuta
Z wściekłości burzy, co grom w chmurach spiętrza!
Jest w tobie siła młodzieńcza i buta
I wiara idzie z tobą przenajświętsza!...

Za twą młodością pozostały zgliszcza,
Złoto błyskawic i milknące grzmoty...
A teraz nowe stworzyłaś bożyszcza
I rwą cię w słońce twe orle tęsknoty!...

Śmiejże się duszo!... Oto grają dzwony
Na one wielkie tryumfalne święta,
Co niosą jasność błękitów i żniwa...

Za znój dni krwawych złote zbierzesz plony
I moc, co w tobie drzemała zaklęta,
Jako Prometej łańcuchy pozrywa!...

XIV.

Wykowałem ogromne spiżowe Tytany
I strąciłem w nie krwawe płomieniste słońca
I w dusze im zażegłem piorunne orkany
I tęsknicę za światłem, która jest bez końca.

Wykowałem mój zastęp taki butny, hardy,
Że swych kolan przed żadną świętością nie zegnie!...
A gdy grom mu wytrąci z rąk tęgich oskardy
Serc piorunem bić będzie — lecz w boju nie legnie.

W spiż posągów przelałem Moc moją i Wolę,
Życia błękit przeczysty i młodzieńczą butę
I duszę zapatrzoną w dal — w Piękna słoneczność!...

Stoją w słońca przepychach z jasnością na czole
Myśli mojej olbrzymy w spiż twardy zakute
I w życia patrzą głębię — której imię Wieczność...



ZWĄTPIENIE...

Przez fal uśpionych marzące tonie
płynie dusz ludzkich blada tęsknota,
na piersiach splotła śnieżyste dłonie
u czoła błyszczy Jej gwiazda złota...
gwiazda błędnica...
a w oczach smutnych lśnią ludzkie łzy
i potargane w obłędzie sny...
na piersiach splótłszy śnieżyste dłonie
płynie dusz ludzkich blada tęsknota
przez zadumane, uśnione tonie...
u czoła błyszczy Jej gwiazda złota,
gwiazda błędnica...
łzami ludzkości lśni Jej źrenica...

O wy zniszczone marzenia lat
o wy powiędłe łąk złotych kwiaty,...
błyszczące ongi w cudów szkarłaty...

. . . .

Płynie
w przecichej swoich aureoli szat
po męczarń świata głębinie,
w próżnie życiowej gehenny
sypie rozpaczy ogień płomienny...
zaduma dziwna wieńczy Jej skronie...
na piersiach splótłszy śnieżyste dłonie,
płynie najkrwawszych męczarń sprawczyni
łez i uniesień świętych bogini...
blada tęsknota...

O śnij
Ty młode serce marzeń Twych przepych
w psalmodyi gwiazd złotych fal...
o śnij,
zanim wyrokiem Przeznaczeń ślepych
nie padniesz wyniszczon z sił,
marzeń Twych przepych...

Niech Cię uniesie nadziei baśń
w mistyczną snów Twoich dal,
w promienny pył,
w poświetle zórz...
nad gromy burz
o płyń
w błękitów jaśń...

Pamiętam... u stóp ołtarza
klęczałem ongi samotny,
czułem jak serce w piersiach się rozżarza,
ogień rozpalał me skronie
i szał zawrotny...

. . . .

a ołtarz błyszczał światły dziwnemi,
w okół Anieli skrzydły białemi
w Chrystusa martwe patrzyli lica...
łzami zachwytu zaszła ma źrenica...

. . . .

a wtenczas Anioł jeden spłynął w bieli
śnieżystych swoich szat
i stanął obok mych tęsknot topieli,
aby ją zmienić w nadziei kwiat...

i od tej chwili szukam Go w rozpaczy
na ciemnej ziemi,
szukam Anioła skrzydły śnieżystemi

. . . .

pod stopnie wrócić ołtarza się boję
by Anioł, który spłynął z jego szczytów
napowrót serca nie opuścił mego...
i tak wśród próżnych zachwytów
i łez męczeństwa,
idę skazany wyrokiem przekleństwa
do beznadziejnych bram...

. . . .

Tam
po łez ludzkich głębinie
blada tęsknota płynie,
a za nim pieszczot Jej — śmierci jad
wpłynie do duszy Twej głębi,
o śnij sen czysty białych gołębi
wśród gwiazd złocistych szat...

Jerzy Denker.



Fragment z III części Ocknienia.

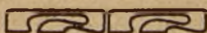
PROLOG.

A n i o ł.

Rozszalałymi wichrami miotani
na szubienicach ginęli z uśmiechem,
dając swe życie konali świetlani,
a pomsta krwawa szła dalekiem echem
i gdzieś konała w syberyjskich kniejach
płaczem tęsknoty i duszy rozpaczą...
I snęły tłumy w szalonych zawiejach —
jeszcze te oczy chociaż zgniłe płaczą.
A kat się sroży — i kąsze i wyje
ciągle krwi łaknie i wiek już nie starczy
jak pełną czarą męczeńską krew pije;
szarpie za piersi, jak wściekły pies warczy —
kąsze on serca rozpaczą omdlałe —
wyje wściekłością, gdy je piorun wydrze
i szczerzy zęby do ofiary śmiałe — —
nie dajmy trupów tej trójgłowej hydrze!
Nie dajmy kąsać — niechaj wpełznie żmija
w czeluści głazem zwalone wiekowym,
niechaj się w otchłań światło nie przebija
my — żyjmy światłem rozkoszy, a nowem
gromy nas gnają — pogrom w koło słychać...
ziemia się w piekło danteizmu zmienia —
serce zatrute poczyna usychać
wschodzą nad nami wiekowe cierpienia.
Łuny się palą — jasno świecą drogi,
a rowem płynie krew niewinnych ludzi;
wstają posągi — starożytne bogi — —
Prometej niesie światło — tłumy budzi!
Lud jednak ciemny — pali się źrenica
walki staczają — naród krwią dziś płonie —
przeszła po niebie krwawa błyskawica,

i gdzieś swym blaskiem w gorącej krwi tonie —
I idą lata — płynie krew strugami
dusze się budzą jak gwiazdy na niebie — —
i trud skraplają ciepłą krwią i łzami
naród się dźwiga — do czynu się grzebie.
A pieśń echowa — przez rodzinne kraje
jako myśl wieszcza z głębi serca płynie
i hen! pod strzechą przyjętą zostaje —
A gdzieś na skrzydłach myśli słowo leci,
które nam każe dumać, marzyć dużo
wkrótce jak jutrznia na morzu zaświeci
pomyślim tylko nad dziejową burzą —
Myśli przelecą jak powietrzni ptacy
obrazy męki przejdą krwawą strugą
wskrześniem z popiołów — my dumni Polacy
i zapanujem nad światem na długo —
A Ty o Panie wysłuchasz narodu
błaganie wielkie za te męki krwawe
zgasisz pragnienie i uchylisz głodu
dasz męczennicy władzę — wolność — sławę!
Dasz nam o Panie pioruny dziejowe,
które porażą wrogów złe ołtarze.
Dasz nam o Panie dni światłością nowe —
orzeł zawiśnie na naszym sztandarze!
Panie i Stwórco — niechaj ktoś z rycerzy
kiedy nadejdzie cisza do nas blizko,
niechaj we wszystkie dzwony on uderzy
niechaj rozpali dziejowe ognisko —
Wtedy zasiędziem i ludzkiemi usty
wielbić będziemy zapadłe kurhany...
naród zapełni ciszą cmentarz pusty
i zginą marnie narodu szatany.

Wincenty Korolewicz.



Przegląd teatralny.

Teatr miejski. Dyrekcya teatru miejskiego pozyskała na szereg występów p. Michała Tarasiewicza. Wytrawny ten artysta-deklamator, przesunął się przed naszemi oczyma we wszystkich swoich kreacyjnych rolach. W *Don Carlosie* deklamował przedługie monologi z giestem i siłą, dając nam prawdziwą ucztę artystyczną. Jako Don Fernando w *Księciu niezłomnym* grał wyśmienicie. Szczególnie zasłużyła na pochwałę gra w scenie przedostatniej, kiedy w nędzy i głodzie umiera. Jednak niezrównanym był jak zwykle w *Kordyanie*. Widać artysta wczuł się w tę rolę wielkim zapałem, gdyż coraz więcej nią zachwyca publiczność. W *Beatrix Cenci* w tragedyi Słowackiego, którą wystawiła dyrekcya w pięknych szatach, przy zastosowaniu najnowszej techniki — okazał się talent p. Tarasiewicza w całej pełni. Iście szekspirowskie momenta umiał wyzyskać nasz artysta z właściwą sobie techniką.

Śluby panieńskie dane w 50-rok ich wystawienia na scenie, były ozdobą tego sezonu. Wystawa była wspaniała, gra artystów wyborna, choć w niektórych momentach mogła być lepszą. I w tej sztuce p. Tarasiewicz okazał się mistrzem słowa. Należy się pochwała p. Solskiemu, że pamiętał o jubileuszu i nie szczędził trudów i kosztów, by przedstawienie było na wyżynie artystycznej. Wreszcie *Syzyfowe potomstwo*. „Znowu“ tragikomedya Zalewskiego zakończyła występy p. Tarasiewicza. Sztuka scenicznie dobra, ale dosyć pospolita w pomyśle i „odgrzewana“. Może p. Zalewski „zachwycał się“ *Panią Dulską*, i stworzył podobną sztuczkę, ku zadowoleniu „niektórych“ krakowian.

Podczas występów p. Tarasiewicza okazało się, że i inni artyści stają na wysokości swego zadania, a młodzi jak p. Józef Węgrzyn robią postępy. Dyrekcyi zaś należy się słuszna pochwała i podziękowanie za pozyskanie p. Tarasiewicza na te kilka występów, a zarazem przypomnienie, że są jeszcze inni artyści, którychby Kraków chciał widzieć na deskach teatru miejskiego.

Teatr ludowy. A teatr ludowy? — po niepowodzeniach „zimy“, po strajkach aktorów — zaczął się znowu sezon. Tym razem wziął p. Frączkowski, jako współpracownika p. Pilarskiego, który zjechał z całą trupą teatru ludowego lwowskiego. Nowi aktorzy, nowe sztuki — i do tego nie nadające się do teatru ludowego, jak: *A Pippa tańczy* Hauptmanna, są przyczyną niepowodzenia. Okazało się, że p. Frączkowski potrafi prowadzić teatr ludowy — i miał wybór sztuk — widać, że nowy jego pomocnik nie zna Krakowa i dlatego powstało nieporozumienie między publicznością, a teatrem ludowym. Teraz szczególniej, kiedy nastała wiosna. Na dramaty i to klasyczne, wystawione przy szczupłych dekoracyach i przy nieszczególnej grze aktorów nikt nie pójdzie. Teraz każdy chce zabawy — operetki. Pan Frączkowski dawał lekkie rzeczy i jakoś szło. Krakowska publiczność „ludowa“ widać nie lubi poważnych sztuk, trzeba ją więc karmić „głupiemi“ a lekkiego pochodzenia. A ma przecież teatr ludowy aktorów do

takich sztuk. Pani Frączkowska jest wyborna do wesołych komedyi i umie dosyć dobrze śpiewać, a nawet publiczność lubi ją, śpiewającą kuplety n. p. w *Żołnierzu królowej Madagaskaru*, w którym miała powodzenie jako śpiewaczka. Są w teatrze tym obiecujące talenta. Pan Boroński młody, a dobry aktor, nie mówiąc już o samym p. Frączkowskim, którego przeszłość znamy jeszcze z czasów p. Pawlikowskiego.

Pani Olska nie przypada publiczności do gustu, grająca role podlotków, choć czasem w grze jej znać rutynę i talencik.

Mamy nadzieję, że Dyrekcya, która okazała tyle staranności i pracy, której się należy zasłużona pochwała — postara się o inny dobór sztuk, które zadowolą publiczność, a tem samem dadzą możność istnienia teatrowi ludowemu, który jest tak potrzebny w Krakowie. *wk.*



Dr. STANISŁAW KURKIEWICZ.

Z WIEDZY PŁCIOWEJ.

Półki księgarskie zaczynają się uginać pod ciężarem wydawnictw najnowszego rodzaju, t. j. z zakresu płciowego. Kwestya seksualna to kwestya „aktualna“ — a więc i „aktualna“ co do... popytu i rozgłosu dla wydawcy względnie autora. — Owóż, skoro czyta każdy, kto może (no i kto jeszcze nie może...) — ano to i pisze każdy, kto może. Profesorowie psychiatryi — specyaliści w chorobach wenerycznych — lekarze-hygieniści — specyaliści w leczeniu ziółkami i przyrodą, lub w leczeniu oczami — dentysta — jakiś-tam autor o początkowych literach — a ze świata niewieściego: „przezorna matka“, „autorka (no nie 366 obiadów — ale) powiastek dla wieku młodzieńczego“, i t. p., — takie autorskie stopnie i charaktery czyta się za szybami i za szybkami wystaw księgarskich.

O czem? ci wszyscy piszą: O „kiepskich waryatach“ lub o „błędach wieku młodego“.

Jak? oddziaływa ta czytanka (lektura): Całkiem odwrotnie, niż to jest jej zadaniem — przynajmniej ja tak się przekonywam. Młodzież i osoby, włożone w czytanie pornografii, traktują owe naukowe wydawnictwa z tąsamą wrażliwością wyobraźni. Zaś osoby do hipochondryi skłonne, lub w sumieniu obciążone — stawiają autodyagnozy bajecznie pesymistyczne; „będzie pan lekarz miał we mnie niezwykle ciekawego, ale i niestety nieuleczalnego, pacyenta!“ — płacze mi taka osoba z pośród płci obu, u której nic nie okaże się wielkiego. —

Czem? jest taka seksualna czytanka dla przeciętnej dzisiejszej osoby — czyli osoby: systematycznie nie uświadamianej. Jest tem, czem jest dla

człowieka, nie umiejącego dźwigać początkowych ciążek gimnastycznych, dźwiganie odrazu ciężarów wielkich — lub (czem jest) dla nieumiejącego wprawnie władać czterema działaniami rachunkowemi, rozwiązywanie równań choćby tylko o jednej niewiadomej. Stawiając się w położeniu przeciętnego laika, nie wiem, jak może on, czytając „Psychopatię seksualną“, nie siedzieć jak na tureckiem kazaniu, — choćto, we dwójkę czytając, niby tak jeden drugiemu dopomaga i dojaśnia. Ja słyszę zawsze zapewnienia o „zupełnem“ zrozumieniu tego lub owego przedstawionego chorobowego stanu rzeczy; — tylko, że przekonywam się zaraz, iż tasama osoba nie rozumie najprostszych rzeczy z fizyologicznego u niej stanu rzeczy. —

Wiedza płciowa jest jeszcze bardzo skąpą — nietylko jest „w kolebce“, ale nawet się jeszcze nie urodziła. Spostrzeżenia i zdobycze psychiatry, lub spostrzeżenia i statystyka syfilidologa w kierunku pożycia prezerwatywnego, czy takiego lekarza teorye o „abstynencyi“ — wszystko to nie jest żadną całością, ani często do żadnego z dotychczasowych przedmiotów klinicznej nauki lekarskiej przyłączonem być nie może.

W badaniach nad życiem płciowem — tem najcodzienniejszem — należy się osobny, i to wielki, stolik: wewnętrznikowi (interniście). Albowiem wewnętrznictwo jest na tropie: klinicznego związku najrozmaitszych, a bardzo codziennych, stanów chorobowych i najrozmaitszych stanów odżywienia — z rodzajem pędzonego płciożycia. —

Badania fizyologii zasadniczych przejawów życia płciowego — badania w grę tu wchodzących czynników antropologicznych — wnikanie w logikę i psychologię poszczególnych uciech człowieka w zasadzie zupełnie prawidłowego — i t. p.: oto przyszłe zajęcia, „na ochotnika“, dla internisty, chcącego pchać naprzód wiedzę internistyczną, — która dziś bardzo często się szkapi, szukając za przyczyną choroby, lub nieprawidłowego stanu, po gwiazdach przypuszczeń — podczas gdy ta przyczyna w tymsamym pokoju się znajduje, tylko że na odległość pruderyi lub nieśmiałości lekarza.

Nazwałem tego rodzaju i zakresu wiedzę przyrodniczo-lekarską: *sexuologia*, płciownictwo. —

Sądzę, że na takie zdobycze z ludzi zupełnie prawidłowych czekają badacze sumień; którzy często znajdują się w ciężkiej roli: chcąc upamiętać energicznem i niepobłażliwem traktowaniem nałogowo grzeszącą osobę, która sama też chce poprawy — ale która przecież ciągle jednako upada: z przyczyn czysto organizmowych.

Kraków, w maju 1907 r.



ŚWIT

MIESIĘCZNIK POŚWIĘCONY LITERATURZE I SZTUCE

KRAKÓW, UL. GRODZKA L. 29. III P.

Wychodzi 25-go każdego miesiąca, w objętości 3—4 arkuszy druku.

Redaktor Jerzy Denker.

Redakcya i Administracya otwarta codziennie od 12-1 i od 3-4.

WARUNKI PRENUMERATY:

W Austryi:		W Król. i Rosyi:	
rocznie	12 Kor.	rocznie	7·60 rb.
półrocznie	6 „	półrocznie	3.80 „
kwartalnie	3 „	kwartalnie	1·90 „

Cena pojedynczego zeszytu 1 Korona.

Prenumeratę przyjmuje Administracya Kraków, Grodzka 29, oraz Księgarnia Krzyżanowskiego i Agencya Hopcasa i Salomonowej.

Numerów okazowych nie wysyła się. Rękopisów nie zwraca się.

Uprasza się PP. Wydawców o nadsyłanie świeżo ogłoszonych książek do Redakcyi. W rubryce p. t. **Książki,** podamy wzmianki o każdem nowem dziele.

Redaktor odpowiedzialny: **Jan Kołodziej.**

Redaktor i Wydawca: **Jerzy Denker.**